Nr. 3. Lwów, Niedziela dnia 16. Września 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

PRAWA NIEPISANE.

Każde dojrzałe społeczeństwo ludzkie, stanowiące pod jakąbądź formą narodowość, wtedy tylko jest w możności podtrzymywania tej narodowości przez odpowiednie instytucye rozwijające jego żywotność, jeżeli wszystkie jego składowe części osobistą swoją działalność naprężą w tym samym kierunku.

Nawet tam, gdzie nie idzie o utrzymanie zagrożonej narodowości, żaden kraj korzystnie na zewnątrz i wewnątrz prosperować nie może, jeżeli wybitniejsze indywidua nie poczują się solidarnie związanemi do wypełniania obywatelskich obowiązków, i nie poświęcą im drobnych swych interesów, a tembardziej zachcianek, mających swe źródło w rozswawolonej fantazyi.

Zatem oprócz praw ogólnych, objętych paragrafami kodeksu i zostających pod nadzorem władz bezpieczeństwa publicznego, istnieją wszędzie inne prawa moralnej natury i takiej doniosłości, że nawet zachowanie się bierne wobec nich jest ciężkim grzechem nietylko przeciw narodowemu patryotyzmowi, lecz nawet przeciw poczuciu prostej sprawiedliwości.

Myśli te, acz bardzo smutne, naprowadziło nam lekkomyślne odsunięcie się od udziału w wystawie krajowej możniejszych obywateli ziemskich w zachodniej Galicyi.

Nie cofamy tego wyrazu *lekkomyślne*, bo rzeczywiście trudnoby w tym wypadku odnaleść inną przyczynę tej abstencyi, bez szukania głębszego znaczenia pobudek, których bądź co bądź nie chcemy nawet przypuszczać. Fantazya i kaprys pański złożyły się tym razem na ten bunt przeciw opinii publicznej, żal tylko, że solidarność tamtejszych oponentów wystawowych, godna lepszej sprawy, zużytą została na cel, stawiający ich wobec kraju w niebardzo poważnem świetle. Zdrowiej myśląca większość kraju nie dała się obałamucić, wystawa mimo ich dąsów bardzo świetnie wypadła, pokazując, że i bez ich udziału obyć się łatwo można. To jest zewnętrzna, widzialna strona tej poronionej komedyi, którą jednak pozwolimy sobie wyjaśnić i z drugiego nieco odmiennego punktu widzenia. Teorya własności, już tyle razy była stawianą na widowni pojęć ekonomicznych, tyle napisano za i przeciw dawnym i dotychczasowym na nią poglądom, że stawianie nowych postulatów w tej mierze nie posunęłoby nas do celu ani o krok dalej. Tego jednak zaprzeczyć nie podobna, że każde posiadanie daje pewne moralne obowiązki, zmuszające posiadaczy do zdawania również moralnego przed krajem rachunku. Pojęcie w ten sposób własności wobec społeczeństwa jest bardzo słusznem, jeżeli udział w jej dzierżeniu, skutkiem rozmaitych urządzeń prawodawczych i państwowych przechodzi nie zawsze drogą pracy i zasługi. Własność więc taka, szczególniej pochodząca z darów przyrody, do której dostęp może być wspólny wszystkim, uważana być musi jako depozyt, którego używalność pewnym zaufanie posiadającym indywiduom powierzoną została, jako rodzaj publicznego fidei komisu. Jeżeli więc o samą własność taką sporu być nie powinno, to co się tyczy właściwego lub niewłaściwego jej zużytkowania, całe społeczeństwo jako pośrednio tu interesowane, ma prawo żądać w pewnych razach publicznego sprawozdania.

Pomijając inne rozlicznemi potrzebami usprawiedliwione znaczenie wystaw krajowych, już ten ostatni wzgląd nie może być bezwarunkowo pomijanym, i udział w popisie publicznym większej własności jest poniekąd moralnym obowiązkiem jej posiadaczy — obowiązkiem sumienia i patryotyzmu, przed którym tak bezkarnie uchylać się nie wolno. Gdy chodziło o dyskusyę, czy wystawa ma lub nie ma być urządzona, tam wolno było mieć różne indywidualne przekonania, lecz skoro otwarcie jej zdecydowanem zostało, gdy kraj z wysiłkiem i ofiarą ciężko zapracowanego grosza postanowił dać widomy znak swej działalności, odstępstwo od tej solidarności już czemś więcej niż prostą koteryjną niechęcią napiętnować wypada.

Gdy idzie o odbieranie hołdów i stawianie się na pierwszem miejscu przed narodem, tam widzimy zawsze tych panów narzucających się ze swemi mniemanemi zasługami, słyszymy o ich uczuciach patryotyzmu, odbieramy od nich budujące nauki jak wypada kierować sprawą narodową — a gdy przyjdzie do czynu w tak niewinnych rozmiarach jak obesłanie wystawy, tam kaprys pański staje przed obowiązkiem publicznym. Szanowni panowie, prosimy nie zapominać że kraj notuje z skwapliwością te wszystkie wasze grzechy, że szlachectwo obowiązuje, a czasy niezasłużonych przywilejów coraz bardziej tracą na wartości.

Nie poruszając już sprawy publicznej, honor imienia, które się nosi, wymaga nawet dla zaspokojenia osobistej ambicyi, umiejętnego i pożytecznego zużytkowania tych skarbów, które się odziedziczyło po przodkach, a gdzież to wszystko lepiej się może uwydatnić jak nie przy wspólnym popisie, zkąd oczy całego kraju wyglądają dla siebie wzorów, zachęty i przykładu. Jakże więc wobec tego nazwiemy tę pyszałkowatą ignorancyę, na karb czego położymy to lekceważenie imienia, stanowiska i słusznych wymagań opinii publicznej?

Nie wymieniamy tu nikogo, i gdyby zmowa przeciw wystawie miała charakter pojedyńczego uporu, milczelibyśmy o takim nietakcie, lecz przejrzawszy katalog wystawców, tak mało, bo ledwie kilka imion, znajdujemy tam z zachodniej Galicyi, że nie wypadało przepuścić milczeniem takiego faktu i napiętnować go tem, na co zasługuje.

Wobec sprawy publicznej nie wolno mieć kaprysów i zaściankowych zawiści, nie wyrzekając się stanowiska i nazwy syna tego kraju. Patryotyzm — wielkie to słowo, lecz martwem będzie bez uczynków. Wyloty u kontusza z żółtą podszewką, sobolowa delia i gorący na ustach efekt przy brzęku karabeli, nawet obok głośnego imienia nie stanowi Polaka i nie daje prawa do czci publicznej, choćby się urodziło w tumanie zasług ojców i pradziadów. Prócz pasożytnych pochlebców, których adoracyę pierwszy wiatr rozwieje, społeczność przejdzie nad zadąsaną opozycyą do porządku dziennego, jak przeszła wystawa krajowa nad nieobecnością wystawców

z zachodniej Galicyi. Życie narodu i bez nich popłynie dalej w naznaczonym przez opatrzność kierunku, a na czole niefortunnych dąsalskich zostanie wstyd, w ustach gorycz, a w opinii lekceważenie.

Z obowiązku sprawozdawcy rzuciliśmy tych kilka uwag tym, którzy się poczuwać zechcą do winy, jako ostrzeżenie, jako wyraz powszechnego oburzenia, w nadziei, że nieprędko znowu przyjdzie nam znaleść drugi podobny czyn braci z zachodu, któryby jeszcze tego rodzaju napomnienia wymagał.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z tego oratoryum drzwi już wprost wiodły do pokoju pana Spytka, i tu sługa, otwarłszy je, wskazał tylko p. Nikodemowi drogę, a sam się cofnął.

Wszystko to co w ciągu powolnej po zam ku przechadzki widział Repeszko, dziwnie go jakoś usposobiło; czuł się w duszy onieśmielonym i trwożnym... nawet dopiekająca ciekawość znacznie ostygła.

Pokój wszakże, do którego wchodził, właśnie może na największą zasługiwał uwagę. Był on narożnym i niezupełnie regularnego kształtu, prawie tak obszernym jak sale zamkowe, a pełnym najosobliwszego sprzętu i pamiątek. W jednym jego rogu uderzał obraz patrona, przed którym zawieszona na sposób wschodni i włoski paliła się lampa, — tuż niedaleko ogromny stół zarzucony był cały stosem papierów, pościąganych w fascykuły, przywilejów z przywieszonemi pieczęciami na sznurach i ksiąg policzbowanych starannie. Z pośrodka tych stosów wyglądał czarny hebanowy krucyfiks z Chrystusem z kości słoniowej.

Przed oknem w ozdobnych wazonach ułożony był cały kłąb zieleni z najrzadszych i najpiękniejszych roślin, śród których przemagały róże rozkwitłe i przekwitające. Liśćmi ich wonnemi usypana była posadzka. Ogromny komin marmurowy, biały, rzeźbiony, część znaczną drugiej ściany zajmował.

We wgłębieniu naprzeciw, nawpół osłonionem firankami adamaszkowemi, widać było skromne małe łóżeczko, jakby obozowe, po kryte skórą, z niedźwiedziem u nóg, z obrazem w głowach, z szablą u boku przewieszoną...

W pośrodku tej komnaty, której ścian reszta obitą była tureckiemi makatami przerabianemi złocisto, stał, czekając na powitanie gościa, gospodarz...

Repeszko, jakkolwiek zwykle odważny, lubo z zasady pokorny i słodki, chociaż dwa razy był w Mielsztyńcach (ale go naówczas na dole przyjmowano), choć już pana Spytka widział i mówił z nim, dzisiaj przeszedłszy wspaniałe sale zamkowe, napatrzywszy się tych dziwów grobowego jakiegoś oblicza — prawie w ustach języka zapomniał, uniżeńszym się stał jeszcze i zamiast powitania, gospodarzowi się tylko, more antiquo, czapką do kolan skłonił.

Nie była to rzecz tak prosta i łatwa dla Repeszki jakby się zdawało, p. Nikodem bowiem był prawie olbrzymiej statury, a gospodarz, potomek owej rodziny znakomitej, ledwie nie karła miał postać. Człowiek był już dobrze niemłody, nader kształtny, zdrów i silny, chociaż blady na twarzy, ale nie wiele więcej nad pas pana Repeszki wyrósł.... Nie przeszkadzało mu to być pięknym; nic ułomnego w sobie nie miał, dziwnie jednak drobnym wyglądał, mimo butów na korkach wysokich, podniesionej w górę głowy i wyprostowania. Twarz jego, bardzo pięknych i szlachetnych rysów, wielce przypominająca wizerunki po salach rozproszone, nosiła na sobie piętno spokojnego smutku; w oczach była jakby świeżo obudzona ciekawość i niecierpliwość. Postawę miał rycerską, ruchy pańskie, zdawał się stworzony na olbrzyma... a skazany jakąś wolą Bożą na skarlenie. Mimowoli pan Repeszko przy tym maleńkim człowieku, któregoby bez wysiłku mógł był podnieść w jednej ręce, czuł się nieśmiałym, upokorzonym i gburem, jeśli się tak wyrazić można, tyle było w tamtym majestatu i wielkiego wyrazu jakiejś siły...

Pan Spytek, mimo małości swej, był krzepki, urody pięknej bardzo, a tak zbudowany, iż ręka, noga, oblicze, gdyby posąg stary, zwracały na siebie oczy. Ubranym też był, choć to w dzień powszedni — bardzo wytwornie.

— Szanownego sąsiada — odezwał się pan Spytek — bardzo mi widzieć miło. Zdaje mi się, iż podobno była wzmianka o jakimś interesie...

— Tak jest, tak jest, jaśnie wielmożny panie, odparł Repeszko, powtarzając ukłon pokorny. Wiedząc, jak miłe są cisza i spokój j. w. panu, nigdybym się nie ośmielił zakłócać ich... ale malenieczka kwestyjka graniczna. Chcę ją podać pod sąd i wyrok pana dobrodzieja...

— Graniczna kwestya? — spytał gospodarz — ale szanowny sąsiedzie, to mnie nadzwyczaj dziwi. Od lat przeszło stu pokończyliśmy wszelkie możliwe wątpliwości graniczne, okupując święty spokój setnemi ofiarami... Zkądby się to wzięło?

— Ja nie wiem, odezwał się Repeszko, ale nowy przybysz, szanując święte prawa własności, nie pragnąc nigdy cudzego, a usiłując uniknąć wszelkiej zwady, starałem się upewnić w moim ubogim kawałeczku ziemi. Otóż przy świeżem zatykaniu łąk, gdzie Mielsztyniec od Studziennicy odgranicza strumyczek... zamiast stałej granicy, odkryła się używalność. Strumień płynie każdego roku inaczej... ztąd niepewność... Gdyby była mapa, tobym pokazał.

— O wieleż to iść może? — przerwał pan Spytek, jakaż to tam różnica?

— Na całej przestrzeni, odparł pokornie Repeszko, to tam może jakich parę morżków łączki j. w. panie, i to często gęsto piaskiem a mułem naniesionej. Bóg widzi, że chciwy nie jestem, a czego mi tam Opatrzność łaską swą dorobić się dała, to pragnę zachować tylko, boć to krwawica, całego życia owoc!...

— Szanowny panie sąsiedzie, — rzekł Spytek — ja wcale sędzią w tej sprawie być nie mogę, przechodzi to moję kompetencyę... Najprzód, któż sądzi własną rzecz?... powtóre mało znam granice; po trzecie jest tu ad hoc mój godny plenipotent, alterego, pan Dzięgielewski. Znasz go pan pewnie; co on zadecyduje, przyjmę i podpiszę. Jeśli trzeba bym mu polecił jak największą w postępowaniu wyrozumiałość, tego może być pan pewnym chociaż ogólna instrukcya dawna opiewa, że w tego rodzaju sporach ma raczej ustąpić, niż mnie na proces narazić. Jeśli się panu sąsiadowi zda wybrać arbitrów, przystaję na nich z góry.

Repeszce wszakże ani o łąkę, ani o granicę, ani o formę, jaką kwestya rozwiązaną być miała nie tyle szło pono, co zręczne wciśnienie się do Mielsztyniec i narzucenie panu Spytkowi: więc lubo rzecz zdawała się załatwioną w zasadzie, nie okazał się zadowolonym... Chodziło o przedłużenie bytności w zamku.

— Stanie się woli pańskiej zadosyć, rzekł powoli, z pewnym wyrazem smutku. Ja przecie, przyznam się, pochlebiałem sobie, iż wyjątkowo tę sprawę załatwisz jw. pan sam, abym niepotrzebnej formalności uniknął. Przybyłem z gotowością wszelką zastosowania się do rozkazów.

— Ale ja wcale nie znam ani położenia, ani sprawy — rzekł posępnie pan Spytek. Dzięgielewski, człowiek zacny, każdy kątek zna...

— Więc gdybyś jw. pan raczył tylko go tu kazać prosić, w dwóch słowach byśmy skończyli

Gospodarz widocznie był zakłopotany.

— Prawdziwie, odparł, nie wiem czy Dzięgielewski jest w domu, bardzo wątpię. A co do mnie... ja dziś właśnie jestem tak zajęty... wyjątkowo zajęty...

Zdawał się nasłuchiwać niespokojnie, ale cisza panowała w podwórzu zamkowem. Repeszko stał się ciekawszym jeszcze, postrzegłszy, że jest do czegoś zawadą, domyślał się jakiegoś wypadku, chciał wynaleść sposób przedłużenia rozmowy, nie okazując się natrętnym.

— Możebyśmy zresztą jaki dzień inny naznaczyli, a ja bym panu Dzięgielewskiemu dał znać, gdyż dziś... to mówiąc, gospodarz drgnął, a od okna dało się słyszeć hałaśliwe psów szczekanie i trąbka myśliwska....

Pan Spytek pobiegł do okna, wyjrzał, twarz blada okryła mu się rumieńcem i bardzo żywo począł do Repeszki

— Więc tak... na środę, piątek, kiedy się podoba, proszę do Dzięgielewskiego, ja mu dam właściwą jeszcze instrukcyą, aby był jak najwyrozumialszym... Oznaczycie granicę...

Szczekanie psów i tentent kilku koni coraz wyraźniej słychać było pod oknami, Spytek się skłonił Repeszce i podprowadził go do drzwi, ale pokorny szlachcic nie dał się zbyć tak prędko.

— Pozostaje mi, rzekł z ukłonem niskim, przeprosić jak najpokorniej jw. pana, iż ośmieliłem się zakłócić moją bytnością...

— Ale to nie... owszem, mówił żywo gospodarz, w którego twarzy czraz goretszy malował się niepokój.

— Proszę wierzyć, dodał Repeszko, już prawie stojąc w progu, iż to nie żadna chciwość występna, od której Bóg mnie strzeże,

ani chęć korzystania z powolności jw. Pana, tylko pragnienie utrzymania sąsiedzkiego spokoju, tak drogiego dla człowieka, zwłaszcza dla mnie, nie znanego jeszcze w okolicy i potrzebującego sobie zaskarbić względy...

W miarę jak przeciągał mowę, oczy maleńkiego człowieka, zniecierpliwionego już do najwyższego stopnia, nabrały tak złowrogiego jakiegoś blasku, postawa takiej grozy, usta tak nakazującego wyrazu... iż p. Nikodem, straciwszy wątek mowy, przelękły, ująwszy czapkę pod pachę, wynosił się, nawet ciekawości zapomniawszy. Gdy spocony, drzwi za sobą zamknąwszy, podniósł głowę w progu, oczy jego padły na hełm rycerza stojącego tu na straży, z pod którego trupiej czaszki patrzyły dwa próżne doły czarne... Z tych otworów zdawało mu się, że nań spojrzała śmierć, uśmiechając się szydersko.

O trzy kroki czekał stary sługa, z zegarkiem w ręku. Repeszko już się zabierał iść, gdy w salach usłyszał wrzawę i głosy, chód kilku osób. Ciekawość wróciła; przytulił się do ściany, niby dla przepuszczenia przybywających, choć go przewodnik za rękaw pociągnął, i był świadkiem dziwnego śród grobowego tego zamku zjawiska.

Przodem szła słusznego wzrostu, średniego wieku kobieta, bardzo pięknych jeszcze rysów twarzy, w ubiorze amazonki, w kapeluszu z piórami na głowie i biczykiem w srebro oprawionym w ręku. Ogon aksamitnej, ciemno zielonej sukni niosła na ręku. Wyglądała jak królowa, a z powiek nieco przyciemnionych, osobliwszej barwy, jakby od płaczu poczerniałych, strzelały oczy jej czarne, ogniste, straszne płomieniami, które w nich gorzały. Lice jej nieco opalone świeżem było i jeszcze ani jedną nie napiętnowane marszczką. Czoło miała wysokie, bielsze nieco od reszty twarzy, pogodne ale smutne. Stworzoną się zdawała do rozkazywania i musiała wiedzieć o tem... Kibić jej, choć mogła mieć więcej nad lat trzydzieście, łudziła kształtami dziewiczemi młodości w pełni rozkwitłej. Repeszko, nie wiedząc, kto była, łatwo się w niej domyślił pani domu, ona, postrzegłszy tę nieznaną sobie postać schyloną pokornie, wyprostowała się jeszcze bardziej, zmarszczyła brwi, zacięła wargi i ledwie odpowiedziawszy skinieniem głowy, minęła go szybko, kierując się ku drzwiom gabinetu...

Nie była samą; szedł za nią chłopak, mogący mieć lat piętnaście, nadzwyczajnej piękności, ale tak małego wzrostu jak pan Spytek i bardzo do niego podobny, wytwornie ubrany, wesół, śmiejący się, a za nim, w sukni duchownej, widocznie cudzoziemiec jakiś, wyfryzowany, w trzewiczkach i pończochach, z książką w czerwony safian oprawną pod pachą.

Był to Eugeniusz Spytek, jedyny syn państwa Mielsztyńskich, i przewodniczący jego wychowaniu l'abbé de Bury, słynny z przyjemnej uczoności, dowcipu, a później z wydanych dzieł kilku i ogromnie rozległych stosunków w rzeczypospolitej literackiej z najsłynniejszymi jej koryfeuszami. Ta nie wyczerpana studnia mądrości, mimo głębiny swej, wyglądała jak kryształowa karafka szlifowana, niezmiernie wytwornie i błyszcząco. Pan Repeszko nie był pewien, ale posądzał, iż woń przyjemna, niby wiednących fijołków, która się rozeszła w chwili, gdy ksiądz de Bury go mijał, z jego peruki i mankietów wychodzić musiała.

Dodajmy, że blady brunecik, przyjemnie uśmiechnięty, był wcale ładnym mężczyzną, tylko na suknię duchowną, którą obyczajem wieku dla przyzwoitości nosił, nadto jakoś elegancko i kwieciście wyglądał.

Wszystkie te trzy postacie mignęły tylko, przesuwając się przed ciekawemi oczyma pana Repeszki, drzwi się gabinetu otwarły i okrzyk radości dał słyszeć. Pierwszy wbiegł niemi ów śliczny chłopaczek. Za nim weszła matka, l'abbé de Bury na końcu i podwoje nielitościwie się zatrzasnęły, a Repeszko rad nie rad musiał za swym przewodnikiem z zamku się wynosić.

Nie spodziewał się wcale, żeby go się tak prędko pozbyto i szedł kwaśny, ze spuszczoną głową, ale szedł zwolna i nic w powrocie bacznej jego uwadze nie uszło. Zamek przed chwilą tak cichy, trochę się zaludnił; postrzegł pan Repeszko kilku strzelców w zielonych kurtkach, z kordelasami u boku, którzy psy odprowadzali, kilku masztalerzy i kilka koni, wąsatego łowczego porządkującego dwór swój, a dalej dwa powozy, z których jeden obładowany, świeżo jakby z dalekiej powracające podróży. Tego myśliwstwa w połączeniu z ekwipażami nie mógł dobrze zrozumieć p. Nikodem, ale ze stroju amazonki miarkował, że pani Spytkowa wracała z polowania, a syn i l'abbé de Bury musieli świeżo z odległej jakiejś przybyć wycieczki. Wszystko to dosyć mu się dziwnie wydawało: ten zamek jakby zaklęty, z gospodarzem karłem, ta pani tak wspaniała i piękna, która uganiała się po lasach za zwierzyną, gdy mąż śród róż więdnących siedział w papierach i książkach, i ten chłopczyk śliczny, malutki, o którym w sąsiedztwie jakoś nawet słychać nie było...

Całe to życie wyglądało na zagadkę, a Repeszko szczególniej był łakomy na tajemnice... Ale się go tak pozbyto, odsyłając do Dzięgielewskiego, że nie było sposobu na nowo się do zamku wcisnąć, a pytać ludzi i nie śmiał, i wiedział, że się na nic nie przyda. Popatrzywszy więc tylko na dwór ów, na konie, psy i powozy z daleka, smutny, bo zawiedziony, poszedł Repeszko do swojej bryczki stojącej za bramą.

Ruch niezwyczajny w zamku potwierdził domysł jego, że syn domu, młody Eugeniusz, musiał z dalekiej podróży powracać. Na twarzach przechodzących sług widać było wesołość, wszyscy z pospiechem znać dążyli, aby młodego pana powitać.

— Trudno! rzekł w duchu Repeszko, potrząsając głową; narzucać się im nie przystało mi, a nie łatwi są dla obcych... ale z czasem... z czasem... niepodobna, żebym się ja tu nie wśrubował... (C. d. n.)

SPRAWA POLSKO-PRUSKA
NA SOBORZE KONSTANCYEŃSKIM,

przez

M. KANTECKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pomimo, że i posłowie polscy pomiędzy wysokimi prałatami i książętami, zgromadzonymi w Konstancyi, mieli zwolenników,*) i ani pieniędzy, ani innych kosztownych nie szczędzili darów, aby tylko poprzeć swą sprawę, pomimo iż używali wielkiego znaczenia i wszystkim imponowali blaskiem, jaki rozwinęli w około siebie, to jednak przyznać trzeba, że pełnomocnicy Zakonu w nierównie korzystniejszem od nich znajdowali się położeniu. Mimo ustawicznych skarg wielkiego mistrza na nędzę, w jakiej się Zakon znajduje, i zupełny brak pieniędzy, sieją posłowie krzyżaccy mnogie dary, już to pieniężne, już innego rodzaju pomiędzy zgromadzonych książąt i prałatów, a to zapewne nie z własnej szkatuły. Krzyżacy nie starają się już teraz tak bardzo o względy Zygmunta samego, którego chwiejność i sprzedajność znaną im była aż nadto, jak raczej o pozyskanie osób, pozostających w najbliższej styczności z cesarzem i wywierających wpływ na niego. Tak na przykład przesyła wielki mistrz, Michał Küchmeister, księciu Konradowi Seniorowi z Oleśnicy, co najdzielniejsze rumaki z wspaniałej swej stajni; królowej Barbarze, osławionej żonie Zygmunta, śle on kosztowny bursztynowy różaniec, jeden z najmilszych, wedle Voigta, podarków owego czasu; arcybiskup koloński, znany z wielkiego zamiłowania w łowach, otrzymuje od niego znaczną liczbę znakomicie wyćwiczonych sokołów i tym podobnie.**)

Dodać tu należy, że Zakon uzupełniał się po największej części tymi, których reprezentanci na soborze największe mieli znaczenie; nie mogło mu więc być trudnem umysły większości na swoją przechylić stronę, tem więcej, że jak się to już rzekło, tworzył przedmurze Teutonizmu na wschodnich jego krańcach. Nie bez skutku pozostała i udana pokora zakonnych wysłańców, obiecujących obłudnie, że się poddadzą wszelkim wyrokom soboru, jako korni słudzy cesarstwa i kościoła, podczas gdy posłowie królewscy z należytą zawsze występowali godnością i śmiało zawsze objawiali swe zapatrywania.

Rodzina Plauenów, których głowie, Henrykowi, głośnemu w dziejach zbawcy Zakonu po klęsce Tannenberskiej, Krzyżacy tak czarną odpłacili niewdzięcznością, starała się wprawdzie przedstawić Zakon w prawdziwem świetle i zohydzić go wobec całego chrześcijańskiego świata, ale mściwe te usiłowania chybiały zamierzonego celu: większa część świeckich i duchownych książąt niemieckich stała stanowczo po stronie krzyżackiej. Najczynniejszymi w sprawie Zakonu okazali się: Ludwik Brodaty, książę bawarski, Fryderyk, margrabia miśnieński, nowo kreowany elektor brandeburski Fryderyk Hohenzollern, arcybiskup koloński i biskupi norymberski i wirceburski. Niektórzy z tych książąt tak żywo zajmowali się losami swych wschodnich spółziomków, że gdy podczas soboru stosunki między Polską a Krzyżakami naprężyły się w groźny sposób, oni w razie nowej wojny, osobisty w niej obiecywali wziąć udział.

Posłowie polscy, pod przewodnictwem arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja Trąby, wyruszywszy z Polski, gdzie podług Długosza w Niepołomicach rozjechali się z królem Władysławem,***)

---

*) Jak zwykle byli i tutaj naturalnymi sprzymierzeńcami Polaków Francuzi, z Janem Gersonem, kanclerzem uniwersytetu paryskiego na czele, który był duszą całego soboru.

**) Voigt. l. c. VII. 309.

***) W Przeździeckiego „Życiu domowem Jadwigi i Jagiełły“ nie znalazłem pod r. 1414 żadnej wzmianki, któraby poświadczała twierdzenie Długosza, że roz-

*

udali się na Miśnią i Saksonią na miejsce przeznaczenia i przybyli do Konstancyi: biskupi 9go, Paweł Włodzimirzowic zaś z resztą 29go stycznia 1415 r. [1]) Długosz opowiada nam, że „wyszedł przeciw nim mnogi poczet kardynałów i prałatów, którzy ich z radością witali, a dla wszystkich była podziwem liczba tak wielka i okazałość poselstwa.“

Polacy weszli w skład narodów germańskich, gdyż całe koncylium dzieliło się dla znanych powodów na cztery narody: angielski, francuski, germański i włoski, do których później przyłączył się naród hiszpański. Pomimo tylu i tak znakomitych książąt duchownych i świeckich, których z najdalszych stron tłumnie ściągnął sobór, nie giną nam posłowie nasi w Konstancyi zupełnie z oczu, owszem występują oni na widownię publiczną nietylko wtedy, gdy bronią sprawy własnego kraju, ale i przy wielu innych ogólnej wagi sposobnościach. Bo też odznaczają się Polacy w Konstancyi nietylko zewnętrznym blaskiem i wielką okazałością, ale także — przynajmniej kilku z nich — znakomitemi zdolnościami, które ich od razu ponad tłum wynoszą. Szczególniej korzystnie odbija postać Andrzeja Laskarego z Gosławic, elekta poznańskiego. Po raz pierwszy zwraca on powszechną na siebie uwagę swemi dwiema świetnemi mowami, któremi w imieniu swych towarzyszów wita Zygmunta i Jana XXIII. Jego gorliwość i starania o usunięcie schizmy kościelnej tak wszystkim znane, że gdy 13go maja 1415 roku zgromadzenie wybiera komisyą z 13 członków, mającą przesłuchiwać występujących przeciwko Janowi XXIII świadków, pomiędzy innymi i Laskaremu zaszczytny ten wielce urząd przypada w udziale. Jego to wraz z trzema innymi prałatami wybiera rzeczona komisya na swego pełnomocnika, on czyta na ogólnem zebraniu w dniu 25 maja 1415 r. skargę przeciwko Janowi, on wreszcie po ucieczce papieża z Konstancyi, czyta 6 kwietnia t. r. wezwanie, cytujące go na powrót przed forum soboru. [2]) Biskupa płockiego Jakóba Kurdwanowskiego napotykamy w komisyi, której zadaniem było rozsądzać wszelkie spory prywatne, przedkładane soborowi. [3]) Arcybiskup gnieznieński Mikołaj Trąba celebruje wobec Zygmunta i całego kleru podczas mszy, po której z Hussa zdjęto kapłańskie święcenia,[1]) a powaga, jakiej ten najwyższy dostojnik polskiego kościoła zażywa powszechnie, tak wielka, że papieska tyara o mało co na jego nie spoczęła skroni.

---

stanie nastąpiło w Niepołomicach. Zanotowane tam tylko na str. 101 wydatki dla Zawiszy Czarnego, podczas pobytu Jagiełły w Nowem Mieście 4 marca tegoż roku.

[1]) Te daty podaje Hardt l. c. IV. P. II. 39 Dług. XI. 166 podaje dzień 27 listop. 1414 jako datę przyjazdu polskich posłów. Bez wątpienia winniśmy tu iść za Hardtem, bo chociaż przy tej właśnie sposobności nie podaje źródła, z którego czerpał, to czyni to wielokrotnie przy podaniu dat przybycia innych posłów. Źródłem jego w tym względzie jest Riechenthal, który był obecnym w czasie soboru w Konstancyi i z obowiązku spisywał nazwiska, stan i mieszkanie przybywających cudzoziemców. Dacher, którego Hardt i jeszcze Aschbach l. c. cytuje, żył znacznie później i wypisywał tylko Riechenthala, jak to nowsze wykazały badania. Już ta okoliczność, że mowy Laskarego wypowiedziane zostały na początku r. 1415, 11 i 14go stycznia, mówi za Hardtem. Zwracam jeszcze uwagę i na to, że ponieważ rozejm pod Brodnicą zawarty został dopiero 7 października, posłowie wyruszyć mogli najprędzej około końca t. m., a droga do Konstancyi trwała podówczas najmniej dwa miesiące.

[2]) O działalności Laskarego w innych sprawach kościelnych zobacz Küblera: „Die Constanzer Reform“ str. 325 i 338.

[3]) Hardt l. c. IV Pars VIII 492 ad audiendum causas et querelas, ad ipsum Concilium devolutas seu deductas et devolvendas seu deducendas.

Po przybyciu posłów polskich do Konstancyi i uroczystem przyjęciu ich w skład soboru, powitał w imieniu swych ziomków elekt poznański, Andrzej Laskary z Gosławic, znakomitą mową cesarza Zygmunta w dniu 11go stycznia 1415 r. Mowę tę wraz z drugą do Jana XXIII papieża wygłoszoną 14go stycznia, znajdujemy w Hardta aktach soboru konstancyeńskiego (II P. V i VI 170—183)). W pierwszej z nich wysławia cesarza Zygmunta i w gorących słowach zachęca go, aby pomny swego wielkiego posłannictwa starał się przedewszystkiem o przywrócenie jedności w kościele. „Gdy Twórca wszech rzeczy,“ mówi na wstępie, „Pan wiekuistej chwały, który, Sam stojąc niewzruszenie, wszystko przedziwną porusza opatrznością, ujrzał świat starzejący się i chylący ku upadkowi, postawił Ciebie, najdostojniejszy rzymski cesarzu, ponad wszystkiemi ludami i królestwy, abyś rozpędzał narody, które wszczynają niezgodę, kruszył tarczę i miecz, a pokój przywracał. [2])

W drugiej mowie do papieża (oratio paraenetica ad papam Johannem XXIII habita, de humanitate papam decente, spontaneave papatus abdicatione) zachęca Andrzej Jana XXIII, aby na wzór onego pasterza z pisma św., który nie waha się położyć życia swego za owieczki swoje, zrzekł się dobrowolnie papieskiej godności i przyczynił się tym sposobem do usunięcia zgubnej dla wszystkich wiernych schizmy kościelnej.

Nie od rzeczy będzie tu wzmianka, że Jan XXIII, albo jak go po złożeniu z papiestwa pierwotnem nazywano imieniem, Baltazar Cossa, chcąc sobie w trudnem położeniu, w jakiem się znajdował na soborze, jak najwięcej zjednać sprzymierzeńców, nadał Władysławowi i Witołdowi godność generalnych wikaryuszów w ziemiach Wielkiego Nowogrodu i Pskowa, a nadto darował królowi połowę dochodów z wszystkich polskich beneficyów. [3]) Spowodowało go do tego kroku pomiędzy innemi zapewne i wystąpienie Laskarego.

Dniem, w którym sprawa polsko-pruska po raz pierwszy poruszoną została przed forum soboru, jest dzień 11go maja 1415 r. [4]) W dniu tym obraną została komisya, mająca się zająć rozpatrzeniem całej sprawy; na czele jej stoi Franciszek de Zabarellis, któremu do pomocy w tem trudnem nader zadaniu dodano z każdego z czterech narodów po dwóch doktorów. [1]) O czynności tej komisyi nie wspominają spółczesne źródła; przypuścić jednakże można, że obie strony przedłożyły jej do przejrzenia swe skargi i wymagania, i że naprzód zajęła się zbadaniem stosunków, które rozsądzać było jej zadaniem.

---

[1]) Hardt l. c. IV P. VI 389.

[2]) Prof. Caro (III. 446 1 uw.) mówi: „indess ist der Vergleich mit dem vor der Bundeslade tanzenden König David nicht ohne feinen Witz.“ Zdanie to nie uzasadnione. Laskary porównywa wprawdzie Zygmunta z Dawidem, ale w sposób inny; odnośne miejsce brzmi: Qui ut alter David universum Israel in hanc novam Hierusalem, Constantiam, congregasti, ut afferas arcam Deo, nec non filios Aaron et Laevitas in locum eis praeparatum. Jak widzimy, o Dawidzie pląsającym przed arką przymierza, nie ma tu mowy. Zresztą gdyby i tak było, to porównanie takie musielibyśmy raczej położyć na karb ówczesnego smaku, lubującego się w podobnych obrazach, aniżeli rozmyślnej złośliwości.

[3]) Gołębiowski l. c. I. 727 uw. 704 (bulla Jana z 27 lutego, IV Kalendas Martii) i I. 438. uw. 748.

[4]) Hardt l. c. IV 164.

Tymczasem 5go lipca tegoż roku [2]) przedłożył wspominamy już tylokrotnie Paweł Włodzimirzowic na zebraniu narodów germańskich pracę swą pod tytułem „De potestate papae et imperatoris — respectu infidelium,“ a następnego dnia, 6go lipca, na publicznem zebraniu za swą gorliwość pochwalony [3]) odczytał drugi traktat pod tytułem: Infideles armis et bello non esse ad christianam fidem convertendos. [4]) O rozprawie tej mówi Lenfant w swojej „Histoire du concile de Constance“ [5]): „Pismo to zasługuje na pomieszczenie między dziełami pisarzów kościoła.“ Prof. Caro (III 448) tak się o niej wyraża: „Jeśli usuniemy z niej scholastyczną nadętość, to rozprawa ta mogłaby z powodu zadziwiających zasad nie tak tolerancyi, jak raczej wielkiej sprawiedliwości dla *niechrześcijan*, oraz z powodu powoływania się na godne uznania prawo natury, co dziwnie odbija od przesądnej epoki, w której została napisaną, jeszcze dzisiaj w *Polsce* być czytaną.“ Nie myślę się tu rozwodzić nad tendencyą, która panu Caro podyktowała powyższe, tak dla nas nieprzyjazne słowa, powiem tylko, że autor w sposób, jak na historyka, cokolwiek za subiektywny, czyni Polakom zarzut wcale nieuzasadniony. (C. d. n.)

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

Spieszę się podzielić z pięknemi czytelniczkami świeżutką nowinką, ale to tak prosto z igły wziętą historyjką, o której nikt jeszcze nie wie, historyjką, którą mam z bardzo autentycznego źródła.

Poczciwy Kraków już tak okrzyczany jest ze swojej starości, tak widocznie wyszafował się za młodych swoich czasów na wielkie czyny, godne pióra, pędzla i rylca, że może już na tych laurach drzemać sobie długie lata bezpiecznie. Dziś więc, jestto sobie jedyne miejsce prędkiego starzenia: prasowane drożdże i młodzież, świeża bryndza i Podolacy, nowe domy i akcye banków, sok malinowy i panny na wydaniu, — jeżeli nie schwycisz zaraz na gorącym uczynku (nie wyjmując młodych mężatek), to zaraz konserwatywny Kraków każe je zabalsamować, i odda na zachowanie do jednego z licznych muzeów, dla wiecznej rzeczy pamiątki.

Historyjkę tę, jak powiedziałem, mam z bardzo wiarogodnego źródła, wiarogodniejszego, niż sama cesarsko królewska „Wiener Abendpost,“

---

[1]) Ibidem. Nazwiska pojedyńczych członków są: ex anglicana natione: Wernardus de Plagina. Decr dr. et Johannes Thoonos, in Legib. Licent. Ex gallicana: Joh. de Matischone, Legum dr. et Adamus de Anton. episc. Concordiensis decr. et Gasparus de Perusio legum doctores.

[2]) Ibid. IV 338.

[3]) ibid.

[4]) ibid.

[5]) Cytat z historyi Carona III 448 2 uw.

bo z ust koncepcisty, czy koncypisty, albo, jak w Warszawie nazywają, dependenta adwokackiego, Imci pana Tadeusza Rekwesowicza.

Tylko nie myślcie sobie, że ten mój pan Tadeusz jest zwyczajnym koncypistą, który niedawno zdał rygoroza, pracuje u byle jakiego adwokata za dwadzieścia reńskich miesięcznie, jada obiad u Florkiewicza, lub, jak prosty słuchacz techniki, albo sub-buchalter banku, rozbija bilardy w kawiarniach. Nie — broń Boże, nie! Moje autentyczne źródło jest sobie już bardzo poważna osobistość, koncepista w siódmym roku praktyki u pierwszorzędnego mecenasa i to na tantiemie; osoba nawet z pozoru niefircykowata, z małą już łysiną na czubku głowy, z dwiema brodami i widocznem zacięciem na brzuszek, dający kwalifikacyę do zajęcia krzesła radcy miejskiego w magistracie.

Mój pan Tadeusz, jada obiad o godzinie pierwszej w hotelu Drezdeńskim, i to nie przy okrągłym stole, a nie! — zanadto jest konserwatystą, aby się miał *blamować* publicznie z jakiemiś demagogami z Królestwa. Po obiedzie chodzi na czarną kawę do Dyktarskiego, czytuje „Floh“ i „Kikeriki“ dla odświeżenia swego konceptowego materyału, jest na każdym koncercie w Ogrodzie Strzeleckim, i to w towarzystwie samych konsyliarzy sądów krakowskich — a jak deszcz pada, idzie samotnie na Krzemionki, oczywiście dla zdrowia, w spokojne miejsce, gdzie żadna zewnętrzna dystrakcya nie przeszkadza wewnętrznemu trawieniu obiadu, kosztującemu okrągłego guldena.

Wielkie byłoby nieszczęście, gdyby już nie wierzyć tak porządnemu człowiekowi, posiadającemu kilkanaście sztuk Ludwików, trzy akcye Czerniowieckie, jednego Rudolfa *), a zapewne i coś złotej renty, bo założyłbym się, że musi mieć złotą rentę, choć o niej nie mówi... musi mieć. Nie dodaję, bo to wynika z samej rzeczy, że taki porządny człowiek, jak pan Tadeusz, chodzi z książką do nabożeństwa na modną mszę do kościoła Panny Maryi, że zdejmuje kapelusz przed każdą figurą świętego — tylko przed pewnym pałacem w rynku jeszcze nie, choć przechodząc tamtędy, instynktownie wznosi już oczy do góry, i robi giest ręką ku kapeluszowi.

Byłbym niesumiennym powieściopisarzem, gdybym zapomniał o jednej jedynej wadzie, której sobie pan Tadeusz dotąd nie może przebaczyć. Czasami, przy energiczniejszej rozmowie z klientami włościańskiego pochodzenia, a nawet z kolegami, wyrwie mu się czysto krakowskie wyrażenie psia k... Co on się nie nakarał za to przyzwyczajenie gminne... wszystko napróżno — pokazuje się, natura w tym względzie mocniejszą jest od jego woli: psia k... zostało w słowniku jego prawniczym.

Teraz, kiedym się usprawiedliwił ze źródła pochodzenia mojej historyi, zaczynam w imię Boże:

Przed dwoma tygodniami, pociągiem wieczornym, przyjechały z Warszawy trzy panie, dwie mądre, a jedna... Eh, cóż mi się też plecie! — dwie młode, a jedna stara. Przepraszam, i ta jeszcze nie tak stara, bo miała dużą pąsową kokardę pod szyją, a wiadomo przecie, że stare kobiety takich czerwono-krzyczących kokard nie noszą, prócz pani adwokatowej... Nie, dalibóg, źle zaczynam, czysto po krakowsku; wdaję się zaraz w krytykę strojów... Nie, — a temu wszystkiemu winien pan Tadeusz, który nie pisze powieści; więc, jak zacznie co opowiadać bez ładu i składu, to doprawdy tak samo, jakby bronił z urzędu przed sądem jakiegoś złoczyńcę.

Tak tedy przyjechały, sam nawet widziałem najmłodszą, bardzo animującej powierzchowności, Litwinkę, w granatowym burnusie z kapiszonem. Wystawcie sobie, brunetka, wysoka, niby Wenus, niby Junona, niby pani hrabina Ł. — słowem, piękność całą gębą, a co szczególniejsza, brunetka o białej cerze, a z oczami szafirowo-zielonemi koloru wody morskiej, a z usteczkami, jak prawdziwy karmin. Co tu długo opisywać — piękność i kwita! Osoba wspaniała, z szykiem, nie żadna sobie tam jakaś... bo to zaraz znać, że coś lepszego, bo i ubranie, i wzięcie się, i chód, i trzewik, i wachlarz i to i owo, co się nie da określić, ale się, proszę państwa, czuje, że coś niezwyczajnego.

Ciekawa młodzież nasza, chociaż nie bardzo zna się na astronomii, jednak dostrzegła zaraz tę pierwszorzędną kometę na krakowskim horyzoncie. Byli niektórzy do tego stopnia zainteresowani, że chodzili umyślnie do szwajcara Saskiego hotelu, aby się dowiedzieć, co to są za jedne te panie, — lecz ten nie umiał im więcej powiedzieć nad to, że przyjechały z Warszawy i zapisały się pod firmą: „Wielmożna Kuliczkiewicz z familią,“ i że najstarsza pani do najmłodszej mówi: Ludko..“

Doszedłszy do tego punktu, podług opowiadania pana Tadeusza, widzę, żem kompletnie źle zaczął; ci prawnicy mają szczególniejszy dar prowadzenia i autorów i czytelników, a zapewne i klientów, na manowce, — nie ma więc rady, trzeba porzucić nasze trzy damy, a zacząć z innej beczki. Muszę was wprzód zaprowadzić na ulicę Sławkowską, na drugie piętro kamienicy, w której mieszka niedawno udyplomowany doktor medycyny, chirurgii, okulistyki etc., słowem wszech nauk lekarskich, doktor *pour tout*, co sobie kto życzy... pan Paweł Proszkiewicz.

Ot masz tobie! licho mi nadało wygadać się tak zaraz z góry kto on, co on, jak się nazywa, gdzie mieszka? Dopieroż to będą w naszem poczciwem miasteczku różne domysły, rozprawy i dociekania!

Trzeba wam wiedzieć łaskawe niekrakowskie czytelniczki, że my tu sobie w Krakowie jesteśmy jedną solidarną rodziną, a choć nie rozmawiamy nigdy z sobą na ulicy, i nibyto się nie znamy, to jednak los pojedyńczego naszego członka żywiej obchodzi każdego, niż jego własny.

O ile ta solidarność dotyczy, n. p. interesów publicznych, tego nie wiem, nie mając z temi sferami stosunków; lecz co się tyczy wzajemnego nicowania się — jesteśmy na stopie kompletnego równouprawnienia, i czysto republikańskiej swobody. Książęce, hrabiowskie, szlacheckie i nieszlacheckie familie, kładziemy bez ceremonii na naszym anatomicznym stole, obok duchownych i adwokatów i urzędników i kupców i doktorów, — i krajemy z zupełną swobodą. Starszym wiekiem, to jakoś pozwala się modlić, lub stawiać pasyansy bez kontroli, ale gdy idzie o ładną twarzyczkę młodej mężatki, o aspirantów do stanu małżeńskiego — to byłoby grzechem nie wiedzieć co one są za jedne, z kim rozmawiają, lub za którego lichwiarza pieniądze, mężowie ich sprawiają im suknie z ogonami. A niechno jeszcze taki bohater, czy bohaterka, wypłynie gdzieś na wierzch w korespondencyi gazeciarskiej lub w powieści? — w całem mieście powstaje huczek nie mały, i zaczynamy ich szukać między sobą do upadłego.

— Przecież go sobie z palca nie wyssał?— powie pani doktorowa. — Musiał brać wzorki z któregoś, ale z którego? — w tem cała tajemnica.

— Pozwól cioteńka — przerwie fertyczna Marynia — my tu zaraz dojdziemy. Najprzód powiada, że świeżo udyplomowany doktór... któż tu się w tych czasach doktoryzował?

— No... pan Adam.

— Ależ to nie może być pan Adam: on mówi, że małego wzrostu, blondyn, a pan Adam wysoki i brunet...

— Już wiem, to pan Feliks! — zawoła Jadwinia klaskając w ręce — nikt, tylko pan Feliks.

— Ależ Feliks nie potrzebuje mieszkać na Sławkowskiej ulicy, jego matka ma przecież swoję kamienicę w rynku.

— Proszę cię, Jadwiniu, nie przeszkadzajno, niech ja pomyślę, a zaraz dojdę...

Oj! nie dojdziecie, nie, moje szanowne panie! Oddaję wam tę sprawiedliwość, że macie dobre główki, wiele sprytu i domyślności kobiecej, ale darujcie, i nam też bajkopisarzom nie brak na przebiegłości. Jak potrzeba was zaciekawić, to potrafimy lepiej od was, lepiej od wszelkich doktorów prawa tak rzecz zagmatwać, tak pokręcić wszystko, urwać ztąd trochę, ztamtąd trochę, — tak wreszcie wyprowadzić was na manowce, że choć oczywiście jest w tem wszystkiem prawda, że choć zdaje wam się już... już mamy go, — a tymczasem dalej pokaże się, że to ani ten, ani ta.

Więc nie suszcie sobie dalej swych pięknych główek, a słuchajcie co powiem o panu Pawle. Rzeczywiście, jest małego wzrostu, blondynek, przyjemnej powierzchowności, z wąsikami fantazyjnie zakręconemi do góry, a choć świeżej daty lekarz, to znów nie tak bardzo młody, jak sądzicie — i gdyby tylko miał jaką taką praktykę — mógłby się żenić.

Nie chce się przyznać pan Paweł, że mu minęła trzydziestka, goli się więc starannie, zostawiając tylko wąsy; zawsze to jakoś odmładza. Studya medyczne rozpoczął jeszcze w roku pańskim 1865, a gnany losem po różnych krańcach świata przez te lat ośm, zdecydował się, przed pięciu laty, dokończyć je w Krakowie.

Gdyby nie anatomia, już dawno byłby w legalny sposób zapełnił cesarsko-królewskie cmentarze Królestwa Galicyi wraz z Lodomeryą i Wielkiem Księstwem Krakowskiem, — dwa razy bowiem zasiadał do egzaminów, i dwa razy został dla owej głupiej anatomii odpalony.

— Co to jest, panie — mówił mi po takiej aferze — szesnaście tysięcy samych nazw łacińskich umieć na pamięć, i pokazać gdzie to wszystko leży! Mój drogi panie, żebyś miał głowę jak pudło, a w tem pudle dziewięćdziesiąt i dziewięć głów, to tego nie spamiętasz...

Być może, pan Paweł pomieściłby z czasem owe szesnaście tysięcy łacińskich nomenklatur, gdyby w tem pudle nie lokował innych rzeczy, prócz medycznych, to jest, — gdyby nie był członkiem wszystkich stowarzyszeń miejscowych, nie gospodarzył na balach publicznych, nie należał do Muzy, i nie śpiewał w chórach koncertowych.

— Powiedz mi Pawle — pytałem go raz — jak ty możesz śpiewać, kiedy nie masz ani głosu, ani ucha, i na nutach się nie znasz?

— Przepraszam — odpowiada mi urażony — głos mam wypróbowany przez dyrekcyę Muzy.

*) Nazwy akcyi kolei żelaznych austryackich.

uszu dwa a nie jedno, a zresztą czyżto potrzeba wrzeszczyć w chórach, czy co? Otwiera się usta z innemi, i kto tam w ogólnej harmonii mój głos rozpozna?

W chwilach wolnych od zajęć publicznych, praktykował gimnastykę na bilardach, czytywał dzienniki polityczne, robił z nich notatki, które reprodukował w korespondencyach, do gazet czerwonego temperamentu z amatorstwa pisywanych. Z zasady nie cierpiał konserwatyzmu, rżnął prawdę wszelkiej arystokracyi, propagując przekonania liberalno-demokratyczne. Bieda tylko, że nie mógł w żaden sposób wkręcić się do redakcyi „Dyabła,“ która artykuły jego uważała, jak na Kraków, za nadto czerwone.

— Ach, żeby tak można wytrzasnąć zkąd dwieście reńskich, zarazbym założył nowe pismo humorystyczne, pod tytułem: „Bizun Boćkowski“. Co to panie znaczy, mieć swój organ — można dojechać panie każdemu, i napiętnować każdą zdradę i nikczemność! A te panie *Dyabły*, i *Harapy*, i *Muchy*, to wszystkiego się boją... tylko delikatnie dotykają.. pędzelkiem — tchórze!

(C. d. n)

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

Studyum A. G. Bema.

(Ciąg dalszy)

W r. 1820 przyszły wieszcz polski przybywa do Warszawy i zapisuje się w poczet słuchaczów uniwersytetu. Od lat już kilku chwieją się tu posady pseudo - klasycznych w literaturze i sztuce poglądów. Walka klasyków z romantykami pobudza do żywszego ruchu wszystkie czynne w kraju umysły. Starzy na niwie piśmiennictwa pracownicy stają po stronie rzymsko-francuskich sztandarów, gdzie złotemi głoskami wypisane imiona: Horacego, Boala, Woltera, La-Harpa; młodzi natomiast, znający lepiej od swych przeciwników literaturę angielską i niemiecką, za przykładem Albionu i Germanii, podnoszą u czystego zdroju poezyi ludowej chorągiew wyzwolenia natchnionych umysłów..... Tamci są rymotwórcami, ci — wieszczami. Rok 1818, a bardziej 1822 jest dla szkoły polskich romantyków tem, czem dla stronników Lutra był kiedyś rok 1530. W dobie tej bowiem nowe prądy literackie pod piórem młodych poetów-estetyków stanowczo się określają... Echo dokonywanej w ognisku literackiego ruchu od 1815 roku reformy estetycznych poglądów dochodzić zapewne musiało i do murów humańskiej szkoły. „Wypiastowany atoli przez rusałkę,“ Bohdan w pierwszych swych tworach (jak świadczy p. A. E. Odyniec w „Kronice Rodzinnej“) zanucił, podobnie jak Mickiewicz, z klasycznego tonu. Najdawniejszy wierszyk jego „do Pirry“ drukowany w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1819, nie różni się od wszystkich innych naówczas pisanych do Korynny, Lindory, Dorydy, Temiry i „innych pastuszek w atłasowych trzewiczkach.“ Za przybyciem bądź co bądź do nadwiślańskiego grodu, pojął Zaleski od razu rozpalającego bratnie umysły ducha romantyzmu. Więcej powiemy: on tej niby nowej poezyi zgłębiać nie potrzebował; on ją w sercu ze sobą z nad Rosi i Rasawy w świeżym uczuć i obrazów przywiózł kwiecie.... Oprócz Goszczyńskiego i Grabowskiego weszli teraz do grona bliższych jego znajomych wszyscy obecni podówczas w Warszawie młodzi wieszcze-romantycy. W r. 1818 ukazała się zasobna w żywioł dramatyczny gminna powieść „Wiesław.“ Była to polna lilia wyrosła na gruncie studyów takich jak poszukiwania Czarnockiego i Zaborowskiego, którzy w r. 1818 odkryli w „Ćwiczeniach naukowych“ przed oczyma wieszczów nie uznawany dotąd skarbiec *kopalnej*, ludowej poezyi. 1821 r. czytano pierwsze wydanie poezyi Kazimierza z Królówki, a 1822 ten *Jan poprzedziciel* naszego Adama, zasiada już na katedrze warszawskiej wszechnicy. W tym samym roku wychodzi na jaśnią pierwsza, wileńska edycya utworów Mickiewicza. Wobec podobnych faktów poeta ukraiński nie mógł pozostać milczącym. Znany oddawna w bratniem kole z wyśpiewanych dumek, zbliżył się wreszcie przez pośrednictwo osób trzecich do orła, do głównego patryarchy romantyzmu. „Pierwszą edycyą wileńską, a potem sonety krymskie, Walenroda i wydanie pism petersburskie (jak powiada w liście do Władysława Mickiewicza sam Zaleski) przysyłał mu Adam zaraz po wyjściu z druku do Warszawy z pochlebnemi, własnoręcznemi dopiskami.“ Do pierwszych publikowanych utworów pióra naszego pieśniarza należą: „Lubor“ (druk. w Pamięt. Warsz. 1822), „Dumka Hetmana Kosińskiego“ (druk. tamże 1823), „Nieszczęśliwa rodzina,“ „Spiew poety,“ „Duma z pieśni ludu ukraińskiego,“ i niektóre inne, drukowane spółcześnie w czasopismach i noworocznikach*). Ciekawe jest dla biografa porównanie trzech ostatnich utworów, które następowały prawdopodobnie co parę lat — jeden po drugim — w tym samym, w jakim je wymieniliśmy porządku. W pełnej prostoty „Nieszczęśliwej rodzinie“ czuć obudzoną na łonie ludu czystą skrę kiełkującego talentu i widoczny zaledwo odcień dziecięcej tęsknoty. Tu poezya jest dopiero na stanowisku wierszowanej „kazki.“ „Śpiew poety“ jest już wymownym dowodem, że autor „poczuł się w jestestwie swojem,“ że w szczęśliwej chwili jasnowidzenia określając powołanie bożego lutnisty, rozbujał się, że tak powiem, w pogodnym żywiole... Po nad nim — błękitne niebo, w nim — serce śpiewacze, a dokoła wiosna — czarownica tysiączne roztoczyła wdzięki. Poeta wierzy, poeta kocha, a wiara prostacza, a miłość Cheruba śpiewać i śpiewać mu każe. W utworze tym odsłania się najczystsza krynica liryzmu. Jakże odmienną już jest niemniej piękna, lecz o wiele starsza i smętniejsza „Duma z pieśni ludu ukraińskiego“:

„Świat omamień mych pomału
Niknie z lekką mar drużyną;
Coraz rzadsze dni zapału,
I łzy czucia rzadziej płyną!
. . . .
„Jak tu chmurno na około,
Tylko jasne niebo wschodu
Niby dla mnie lśni wesoło,
Gdy nie czuję, jak za młodu.“

W dalszym ciągu zwraca się z okiem krwawą łzą zaszłym ku Ukrainie, ku rodzinnym stepom, borom i Zofiówce; ku kochance i przyjaciołom, a nareszcie ku „*...smutnemu, wiślanemu brzegowi.*“ Liczyć mógł zaledwo lat 24, a śpiewa jak bard siwobrody. Matka-Ukraina, której już nigdy nie ujrzy, miała się stać dla poety ziemią obiecaną w pieśni... Po za jej granicami nie ma dla niego ni szczęścia, ni życia! Niby roślina, która „gdzieś z bujnej ziemicy w piasek wszczepiona schnąć poczęła wcześnie,“ zdolność twórcza Bohdana zatrzymuje się w swoim rozwoju, a tęsknoty za naddnieprzańskim krajem, tęsknoty, głównej przyczyny złego, ni Brodziński, ni Mochnacki, ni żaden z przyjaciół zażegnać nie może. Oprócz „nostalgii“ trapiły pieśniarza mniej dogodne warunki bytu prywatnego i zbierające się na horyzoncie politycznym chmury. Ówczesny stan duszy objaśnia wierszyk pt. „Roślinka,“ oraz niektóre ustępy VI-ej pieśni „Ducha od stepu“:

„Patrzaj — patrzaj — gdzieś daleko —
Nad ojczystą inszą rzeką
Po staremu śni na jawie;
Mokrą mruga w świat powieką;
Służy zgasłych plemion sławie)*
Stare bratnie waśni jedna.
. . . .
Ma się — ma się na trzęsienie...
I niebawem — grzmią wulkany,
Rozpościera się pożoga;
Świat poczyna coś bez Boga,
Na swój rozum. O! pijany!
Młodzian — w zgiełku, zawierusze
Za innemi się szamoce;
Mąci — mąci do dna duszę,
I owoce — och! owoce
Cierpkie, gorzkie, wskróś przepsute,
Ssie jak balsam za pokutę!...“

Być może, iż w pewnej mierze, oprócz pobudek ważniejszych, wpłynął na ten bajronistyczny poniekąd nastrój stepowej muzy i Malczewski, którego „Marya“ wyszła jak wiadomo po raz pierwszy w r. 1825, tembardziej, że naddnieprzański nasz śpiewak spędził przy starszym, gasnącym swym ziomku niezapomnianych chwil kilka. Świadczy o tem jeden z „pyłków“ p. n. „Malczewski w Warszawie.“ W epoce tej (między 1825 a 1830 r.) rozwinęła się ostatecznie i zarazem w czarodziejskim zawarła kole twórcza siła Bohdanowego umysłu. Świetną i w całem znaczeniu tego wyrazu oryginalną formę wiersza zawdzięcza on po części skomplikowanemu wpływowi — Brodzińskiego, którego kursów słuchał, Mochnackiego i o cztery lata od siebie starszego druha, Mickiewicza; podczas gdy cudowna niektórych dum melodya nie pozwala zapominać o przyjacielskim a mało wyjaśnionym stosunku Bohdana z czarodziejem Szopenem.

Podczas pobytu w Warszawie (powtarzamy to za innymi) trudnił się Zaleski czas jakiś, przyciśniony zapewne materyalną potrzebą, nauczycielstwem domowem — naprzód w domu Górskich, później Szembeków. Wypadki listopadowe w r. 1830 wyparły go za granicę. Dalsze ślady Bohdanowego żywota wyjaśnia nam nieco przytoczony już (z 1869 roku) list jego własny, jak i w ogóle wydana przed laty kilku „Korespondencya Adama Mickiewicza (Paryż 1871), gdzie między innemi pomieszczono 18 listów autora „Pana Tadeusza“ adresowanych do Bohdana i Józefa**) braci Zaleskich. W zbiorze tym znajdujemy nadto i dowody pośrednich związków w epoce poprzedzającej osobiste zapo-

*) „Spiew poety“ był po raz pierwszy wydrukowany w „Dzienniku Warsz.“ z roku 1825 (napisany zaś, jak utrzymuje p. K. W. Wojcicki jeszcze w r. 1823); „Duma z pieśni ludu“ jest umieszczoną w temże piśmie z r. 1826. Utwór „Nieszczęśliwa rodzina“ musiał genetycznie oba powyższe wyprzedzić.

*) Poeta napisał podówczas między innemi w tym rodzaju „Dumkę o hetmanie Kosińskim.“

**) Starszy brat i towarzysz nieodstępny Bohdana w czasie długoletnich za granicami kraju pobyży, zmarły 1864 r.

znanie się obu poetów (r. 1832). Na pierwszy ślad stosunków między Adamem a Zaleskim natrafiamy w liście pisanym do p. Odyńca pod r. 1827, gdzie Mickiewicz zapytuje druha: „co robi Zaleski?“ Stosunki te jednakże pośrednie datują się już prawdopodobnie od peryodu wileńskiego (między 1822 a 1824 r.) Świadczą o tem własne słowa Bohdana: „Z Wilna, Odessy, Moskwy i Rzymu (powiada Z. w przytoczonym powyżej liście) za pośrednictwem spólnych znajomych i przyjaciół, jako to: Józefa Jeżowskiego, Bonawenturowej Zaleskiej, Joachima Lelewela, Waleryana Krasińskiego, A. E. Odyńca, S. Witwickiego i innych, wywiadywaliśmy się ciekawie o sobie i znosili w rzeczach parnaskich.“ Około r. 1828 Adam, którego od czasu do czasu niepokoiła gorączka układania muzyki pod wiersze, za bytności mej w Petersburgu, w spółce z kompozytorem Kozłowskim (jak powiada Bohdan w dopisku do jednego z późniejszych listów) dorobił muzykę do dumki o Kosińskim, i „ślicznie odlitografowaną“ do Warszawy autorowi przysłał. Osobiste zapoznanie się poetów nastąpiło dopiero w miesiącu lipcu lub sierpniu 1832 r. w Paryżu. Mickiewicz, zawitawszy do nowoczesnego Babilonu, przybył niezwłocznie do mieszkania Zaleskiego i do późnej nocy czytał napisaną w Dreźnie 3cią część Dziadów. Odtąd żyli ze sobą obaj poeci „rzec można nierozłączni w spółce duchowej.“ A choć w kwietniu i maju 1833 r. stosunki ich stały się mniej częstemi, imię wszakże widywanego tu i owdzie Bohdana nie schodzi z listowych kart Mickiewicza. Dnia 20 kwietnia 1833 r. pisał Adam do Odyńca: „Z Bohdanem odległość wielka rozdzieliła nas, jednakże spotykamy się.“ Zaleski musiał być podówczas w Fontainebleau. W miesiąc później (w liście do Odyńca 23go maja: „ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, moim bliskim sąsiadem, *czasem* z Zaleskim.“ W początkach lipca t. r. dwaj wieszcze-druhowie na 3 blisko miesiące rozdzielają się. Mickiewicza wywołała z Francyi piersiowa choroba młodego poety, a serdecznego przyjaciela Stefana Garczyńskiego. Podążył więc za nim do Bex (w okolice Lozanny), pielęgnował dogorywającego i towarzyszył w drodze przez Genewę, Lyon do Awinonu. W Awinijonie zgasł śpiewak Wacława, a przy jego śmiertelnem łożu znalazł się oprócz Adama, Klaudyny Potockiej, wielkopolanina Pągowskiego, i przypędzony z Paryża złowróżbną wieścią Zaleski. Było to 20 września 1833 r. Bohdan z Mickiewiczem, oddawszy ziemi zwłoki ukochanego spółpiewcy i spółrodaka, powrócili razem do stolicy Francyi. Od tej chwili nierozdzielnie mieszkali w Paryżu. W lipcu 1834 r. nastąpił ślub Adama, a 19 grudnia zawiązało się stowarzyszenie religijne „Braci zjednoczonych,“ które można uważać za rodzajne ziarno późniejszych „Zmartwychwstańców.“ Członkami i założycielami tego bractwa propagandy religijnej byli między innymi: Górecki, Mickiewicz, Witwicki, Zalescy i późniejszy Zmartwychwstaniec, Bohdan Jański, który według zdania naszego poety (zazdroszczącego ascetycznemu szczęściu imiennika) *najlepszą podobno* w życiu obrał sobie drogę... Był to, jak się zdaje, dla Zaleskiego jeśli nie zenitowy, to przynajmniej ważny zwrotny punkt w dziejach serca i charakteru... Dawne troski i wątpliwości filozoficzne spoczęły owej chwili na długo pod opiekuńczem skrzydłem wiary, w którem-to ustroniu maleją zazwyczaj do niepoznania wszystkie umysłu ludzkiego zdobycze:

„Z pod omamień grubych płótna,
Widzi świat swój – świat kochany —
Jak grób pusty, pobielany;
Mądrość wieku *bałamutna*
Syczy w pleśniach jak gadzina...
Młodzian coś jak przypomina!
Bije w ziemię dumnem czołem,
Za płaczącym wciąż aniołem,
Jako dziecię jąka społem:
Wielkieć winy — ależ Panie,
Większe Twoje zmiłowanie!“

(C. d. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW
KAROLA BRZOZOWSKIEGO.

POWRÓT Z BAGDADU EUFRATEM (1871 r.)

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz nadedniem, przeciw swemu zwyczajowi znalazł się kapitan na pokładzie, majtkowie poczęli się krzątać hałaśliwie i biegać tu i ówdzie, i z radością ujrzeliśmy kłęby czarnego dymu buchającego z komina; koło południa nareszcie przez piętnaście dni napróżno wyczekiwane zagrzmiało „makina — arsz“!

Niebo było nad nami szafirowe, nie splamione żadną chmurką — słońce rzucało gorące swe promienie prawie pionowo, lekki wiatr północny igrał od czasu do czasu, wzdymając zawieszony płócienny dach nad pokładem, i nawiedzał go pożądaną, błogosławioną chociaż zaledwie chwilową ochłodą. Podróżnych było bardzo mało: — Inżynier min, młody Francuz, ja, były dyrektor rolnictwa, urzędnik bagdadzkiego wilajetu, z żoną i dwojgiem małych dzieci; mój pomocnik, Polak także, trzech czy czterech kupców, udających się do Alepu z perskim nargilowym tytoniem tombekiem i z kilkudziesięciu jukami daktylów bassorskich; jedna familia izraelicka złożona z dziesięciu czy dwunastu osób; Anglik, którego już znamy, i wreszcie najważniejsza figura, brat szacha perskiego, zamieszkały w Bagdadzie, z trzema służącymi, przybyły w nocy, na którego zdaje się owe piętnaście dni czekano. Parowiec miał około siedmdziesięciu metrów długości a do dziesięciu szerokości, było więc gdzie się wygodnie rozpościerać.

Każdy parowiec odbijający od brzegu do dalekiej podróży, w chwili pierwszego uderzenia piersią o wodę słoną czy słodką obudza pewne wrażenia poważne we wszystkich sercach, które niesie na sobie. Mustafa effendi, kapitan, pośrodku wyniesionego nad pokład rusztowania szeroko rozkraczony, w prawej ręce trzymał ogromną trąbę blaszaną, w lewej wielką podwójną lornetę i z dumą patrzył na nurty Eufratu wijącego się kapryśnie przez okiem nieogarnięte stepy; przed nim z jednej strony porucznik, opasły murzyn, wsparłszy się pod boki, z krótkiej glinianej fajeczki bez cybucha zaciągał się poważnie, podobny do okopconego samowara buchającego kłębami pary; z drugiej strony wysoki smukły beduin w burnusie w szerokie białe i kasztanowate pasy, w jedwabnej różnobarwnej kiefii, obrzeżonej długiemi kutasikami, przyciśniętej do głowy grubym sznurem wełnianym, który ją potrójnym skrętem owinął, dawał z przyciskiem gołą żylastą, bronzową wysoko nad kiefię wyrywającą się ręką, znaki majtkom u steru, i z pod gęstych brwi rzucał od czasu do czasu spojrzenie na kapitana i na grubego murzyna, — spojrzenie, które wyraźnie mówiło: bezemnie, co wy znaczycie? Ten beduin — to pilot, zrodzony nad Eufratem, znający wszystkie jego prądy, zakręty i mielizny. Czasem, jakby się litował nad nicestwem kapitana, wysuwał go na pierwszy plan, cicho coś na ucho szepcąc i wtedy rozkraczony nieruchomy kapitan, jakby na czarodziejskie skinienie, wielki łuk w powietrzu zakreśliwszy trąbą, grzmiał tryumfalne: *makina-jawasz!* (wolno) i znowu na drugi szept beduina makina! — arsz! Tymczasem podróżni, oparci o burt statku, przyglądali się rzece, pustyni, tu i ówdzie upstrzonej oazami palm, — ożywionej stadami poważnie kroczących wielbłądów, lub w dali rysującej się na horyzoncie postaci konnego beduina. Sam tylko Anglik, siedzący na przybitej desce schodów do magazynu wiodących, pisał na odłamkach tabliczek, nie zwracając uwagi na nikogo i na nic.

— Nie wiem dla czego smutno mi, rzekła do mnie żona, jedyna reprezentantka płci pięknej, ubrana po europejsku — powracam przecież do rodzinnego kąta — do domu, którego każdy kamień zda się podzielać musi ze mną wspomnienia dzieciństwa mego, szczęśliwych chwil zbiegłych przy ojcu i matce, których tak kochałam; powracam do miejsc, gdzie biegły pierwsze moje łzy smutku i radości — pod pomarańczowe drzewa, których wiosenna woń zdawała się rozumieć i podzielać pierwszy rozkwit miłości w mych piersiach; przed ten ołtarz, gdzie kapłan nas błogosławił, powracam do tej komnaty gdzie pierwszy raz poczułam, że jestem matką — a jednak z dziwną rzewnością wpatruję się w strony, które opuszczam na zawsze — i oto mam przed oczami biały domek Feredżatu, widzę szeregi palm i przechadzające się pomiędzy nimi białoszyjne grzywacze — słyszę pod domkiem żałośny pisk mojej gazelki, która obiegłszy wszystkie ścieżki ogrodu, wbiegła na taras, ogląda się w około i szuka mnie na próżno i smutno mi!

— Zawsze żegnałem z żalem strony, — gdzie chwile spokoju miałem i rozumiem twoje uczucie; zanim je wyraziłaś, wyczytałem je z twojego oka łzą lekko zacienionego, zostawiamy tam nad Tygrem, gdzie piskiem przywołuje cię twoja wychowanica gazella, spokój, jakiego może już więcej przyszłość dla nas nie ma. Nie raz w życiu westchniemy do tego odludnego ustronia, a w westchnieniu tem, kto wie, czy nie najlepsza jest rękojmia błogości, o jaką prosi modlitwa: pokój wiekuisty daj nam Panie.

— A mnie się zdaje, przerwał tuż stojący inżynier min, że żal do miejsca, w którem długo przebywaliśmy, wypływa po prostu z tego, żeśmy do niego przywykli i przeczuwamy, że się znowu do drugiego przyzwyczajać będzie potrzeba. Odmianę rękawiczki, którą się długo nosiło, poznaje ręka i z pewnym wstrętem czuje na sobie nową choćby wygodniejszą. Oko przyzwyczaja się do przedmiotów, które zawsze na tem samem widuje miejscu — i z rodzajem niespokojności pogląda w około, gdy którego braknie, lub innym jest zastąpiony. Śmiej się pani, w serdabie *) moim była ropuszka, która wabiona światłem lampy, wyłaziła z nory na stołek, na którym stawiają się dzbanki z wodą i nieruchoma długie tam przesiadywała godziny. Cień jej padał wielki jak zając na ścianę prosto przed mój stolik, przy którym zwykłem był do późna w nocy pracować. W pierwszej chwili, gdym tego nie-

*) Serdab jest wielką izbą podziemną, piwnicą mieszkalną, którą każdy dom w miastach Mezopotamii południowej mieć musi — w serdabie kryją się ludzie od upałów.

proszonego gościa spostrzegł, nie miłe on na mnie sprawił wrażenie, — a że było potrzeba kilka kroków zrobić, aby go spędzić, z lenistwa pozostawiłem go na miejscu; nie mogłem jednak czytać spokojnie, co chwila odrywałem oko od książki, aby się spotkać z cieniem nie miłej ropuchy — wyraźnie cień ten mi przeszkadzał, mięszał moje myśli; — wstałem, aby raz na zawsze z tem skończyć. Cóż to za dziwne stworzenie jest ten człowiek? — marny oto cień, wyrzuca go z trybu myślenia, paraliżuje władze ducha — to śmiechu warte! Czytam roztargniony, dla czego? dla tego, że tam pod ścianą na desce jakaś sobie żaba, nie troszcząc się o mnie, siedzi. Siedź sobie! a ja będę czytał, jak czytałem zwykle. Wróciłem do stolika, ledwie kilka przebiegłem wierszy, coś mnie popychało by spojrzeć czy siedzi? siedzi! Jeszcze kilka wierszy, — i jeszcze kilka i znowu nieproszona myśl czy siedzi? siedzi. Zniecierpliwiony zerwałem się z krzesła i chwyciłem linię, podniosłem ją do góry, ale niezadowolniony sam z siebie rzekłem sobie: więc to nędzne stworzenie, dla tego, że ci sprawia roztargnienie, nad którem wola twoja nie umie zapanować, ma to przypłacić życiem? ty stworzony do walki i do zwyciężania samego siebie, dumny z tego przeznaczenia, ty silny, rozumny, wielki, ty, który się uważasz za najmędrszą istotę ziemską — ty człowiek — dasz się z twojego zwyczajnego toru wykoleić komu? żabie! cha! cha! żabie!! Takiej gorżkiej ironii wyrzutom gość mój tego wieczora zawdzięczał ocalenie swoje; — czytałem wprawdzie, ale zawsze od czasu do czasu przekonywałem się czy siedzi, i chociaż, aby się zwyciężyć, postanowiłem ropuchy nie zabijać ani nie spędzać, to jednak przyznam się, że wdzięczny byłbym przypadkowi jakiemu, któryby mnie w tem wyręczył. Żaden przypadek w pomoc mi nie przyszedł, — półgodzinna ta wreszcie walka z roztargnieniem znużyła mnie, wiersze w książeczce poczęły się rozszerzać, a pomiędzy niemi cień wielkiej kładł się ropuchy, potem i litery wyraźnie przemieniały mi się w cienie żab; czem zniecierpliwiony, zgasiłem lampę, wprzód obejrzawszy się czy jeszcze siedzi? — siedzi! i wyszedłem na taras.— Nazajutrz zaledwie przyniesiono lampę — jest, w tem samem miejscu! i ten wieczór przepędziłem na czytaniu, które nie na wiele mi się zdało, bo rano musiałem je powtórzyć, żeby dobrze rzecz przeczytaną zrozumieć. Po kilku dniach nareszcie przyzwyczaiłem się do mojego gościa, i co dziwniejsza, ilekroć przychodziło mi się głęboko nad czem zastanowić i potrzebowałem skupienia umysłu, oczy moje zwracały się na ścianę, szukały cienia żaby; — na nią patrząc wglębiałem się lepiej w zadanie i rzecz jaśniej widziałem. Samotny, paląc nargilę na kanapie najprzyjemniej zawsze marzyłem zwrócony do cienia, do którego przyzwyczaiłem się, jak do jakiego drogiego sprzętu, co mówię sprzętu — jak do najlepszego przyjaciela! Zasmucony nieraz niepomyślną wieścią z domu — zamykałem się, aby zostać sam z tym cieniem na ścianie! I żaba to zdawała się pojmować, i szukać mego towarzystwa, bo gdy się więcej wieczorem u mnie osób zebrało, wracała do swej kryjówki, z której nie wychodziła dopóki kto był ze mną. Po trzech miesiącach wypadło mi zrobić małą dwudniową wycieczkę. Powróciwszy z niej zapalam lampę, nie ma mojej ropuchy, otwieram książkę — czytam, patrzę na ścianę nie ma! czytam znowu;— patrzę nie ma! Co jej się zrobiło ? dzieciństwo! czy wiecznie miała być ze mną! Przerzucałem książkę kilka minut, machinalnie co chwila szukając na ścianie ulubionego cienia—wstałem, poszedłem w róg serdabu gdzie była kryjówka ropuchy — i zrozumiałem czemu nie wyszła, dziurę jej w mojej nieobecności zamurowano! Jakimś kosturem wyważyłem nieszczęsne wapno — czekałem godzinę, dwie, napróżno. Wybiegłem na ulicę i bez myśli zaszedłem do pułkownika H., siadłem do wista do którego się zabierano, karta mi szła, zmarnowałem ją, przegrałem wszystkie trzy robry — pani pułkownikowa chciała się zakładać, żem zakochany — cóżby powiedziała, gdybym zdradził tajemnicę mojego roztargnienia! Nie dosyć na tem — bez cienia mojej przyjaciółki dom mi stał się nieznośny, wychodziłem wcześnie, wracałem późno i gdy mój gospodarz przyszedł, aby mi najemne podwyższyć, skwapliwie pochwyciłem tę sposobność aby się gdzie indziej przenieść. Przyzwyczajenie, to pryzmat, który nam wszystko piękniejszem i droższem przedstawia aniżeli jest rzeczywiście. Jest w tem nieco prawdy, — rzekła moja żona, jednak nie wiem, czy umiałabym się do pańskiej żaby przyzwyczaić— widzę jej cień na ścianie i zimno mi się robi. W mojem mieście nie jeden zapytałby się pana, czy pewny jesteś, że to była żaba?

— A! takiego sobie nie postawiłem pytania!

Ja znałam młodą prawdziwie piękną wieśniaczkę z gór, która utrzymywała, że jest moją bliską krewną, że była moją babką, później wiewiórką, jaszczurką, gazellą, i znowu przeszła w ludzkie ciało. Nie lubię jaszczurek, gdyby jednak jaki gad z tego rodu nawidzał mnie tak pilnie jak pańska ropuszka; gdybym się do niego jak pan do swojego gościa przyzwyczaiła, pomimo wrodzonego jaki mam do wszelkich gadów wstrętu, kto wie, czyby nie przyszła mi na myśl moja babka góralka i czybym nie skłonna była przyczyny nawiedzin jaszczurki i przyzwyczajenia się do niej szukać w naturalnym pociągu krwi, a jeśli dla siebie przypuściłabym pokrewieństwo z jaszczurką, której się boję, pokrewieństwo niezbyt pochlebne...“

— Rozumiem, przerwał śmiejąc się inżynier, więc ma się rozumieć, dla czegożbym ja nie miał być w jakiem pokrewieństwie z ropuchą.

—Wniosek pański jest zupełnie logiczny. Nie nawykła a raczej nie umiejąca walczyć z waszymi parodoksami uciekłam się do historyi mojej babki, aby nią się bronić przeciwko pańskiej pryzmie przyzwyczajenia, która, jak się pan wyraziłeś, ma zdradliwą własność przedstawiać wszystko droższem i piękniejszem, aniżeli jest w rzeczywistości. Pański paradoks jest straszny i niemoralny! Więc miłość macierzyńska, miłość ojczyzny, to tylko nawyczka? tylko nawyczka!!

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Krucyaty wprowadziły były Włochy w styczność z dziwnym Wschodem. Filozofia jego panteistyczna, magią przesiąknięta nauka i dziwaczne legendy wsiąkły w istotę radośnej włoskiej wiary; a niezwykła natura, i bajeczne skarby książąt zapaliły wrażliwą Włochów wyobraźnię. Rozum ich już nie korzył się w cichem szczęściu przed cudami wiary; chciał dociec ich znaczenia, i badając gubił się w mgle zagadnień; miał ochotę zanurzyć się w panteizm, a jednak zmuszony głosem uczucia wracał do objawionej wiary, która się odtąd wydawała dwukrotnie niezrozumiałą. Oko już się nie cieszyło jasną prostotą żyjących form, a szukało za ćmiącą pstrokacizną, coby mogło oko tak samo oćmić, jak filozoficzny mistycyzm oćmił duszę. Mniej jasna wreszcie wiara nie mogła już znaleść zrozumiałego dla wszystkich symbolu w liniach architektury ilustrowanej uroczystemi mozaikami; potrzeba jej było kościoła, coby był zamkniętą dla niewtajemniczonych księgą, pełną mniej więcej dowolnych symbolów.

Giacobo della Quercia dźwignął pod koniec 13tego wieku swoje dziwne dzieło na najwidniejszem miejscu na wzgórzu, wysoko nad miastem. Wysoka wieża w obłoki wynosi krzyż, a i sam kościół ma zawsze kształt do krzyża podobny. Ten kształt jednak stał się wielce niewyraźnym. Przyjęto go niejako z przymusu, z tradycyi, a nie z myśli artysty. Krótsze ramiona, i głowy krzyża nadto szerokie, i zagięte w dowolne zygzaki u swej podstawy, a kopuła nie u środku, tylko nad nawą stanęła. Umysł architekty nie był zaprzątnięty myślą o zbawieniu, i nie kolumny i sklepienia miały być treścią wnętrza. To też nieregularna, niewyraźna budowa nie przedstawia na zewnątrz oku pozoru linii architektonicznych. Żaden gzyms nie bieży po jej powierzchni, i tylko barwy marmurów przygotowują już tu do świetności wnętrza. Symbol krzyża tak niejasny, że go nieprzestrzeżony nie dostrzeże, a pasy białe i czarne, poziome, połyskujące, które gmach obiegają, wcale inne myśli w umyśle widza budzą wyraźnie. One przypominają wewnętrzne pokłady ziemi, świetne, tajemnicze, a jednak ponure posady świata. One kościół do ziemi przykuwają i czynią go niby częścią jądra materyi wystającą po nad miasto. Kościół ten aż nadto wie o prawach ciężkości. Jest cielesną, nieorganiczną, twardą łupiną, której przyszło Boga głosić i krzyż dźwignąć. To obraz panteistycznej materyi i wiekuistej nieruchomości.

Na fasadzie występuje na jaw cały świat symbolów, które można dopiero za pomocą komentarza wyrozumieć. Oku i niewtajemniczonemu umysłowi widne rzeczy takie, co nie mają nic wspólnego ani z duchem chrześcijaństwa, ani z klasyczną pięknością. Najwyraźniej ćmi bogactwo różnobarwnych świecących głazów, wydobytych z wnętrza ziemi. Potem zauważysz trzy bramy u dołu, zupełnie podobne do siebie. Zagięte w krągłe łuki, wstępują w głąb muru, tak że formalne półkopuły tworzą. Sklepienie ich sparte o mnogie wiązanki fantastycznych kręconych, albo też jaskrawych kolumn, na których głowicach roi się całe, żadnem prawem nie ujęte monstrualne życie, i roślinne i zwierzęce. Na głowicach tych widać gadziny uspione wśród liści, ptaki podobne do skrzydlatych przedpotopowych gadów, karły, smoki i wszystko, co wschodnia wyobraźnia wymyślić mogła. Komentator średniowieczny byłby ci powiedział, że owe trzy bramy, to trzy osoby trójcy, i że każda poczwarna głowica prawi o jakiejś teologicznej prawdzie. Ty widzisz tylko głębokie bramy prowadzące w ciemną głąb owego tajemniczego jądra katedry. Aż ciemno już w bramach, a cały świat poczwarnych organizmów broni wstępu do owej tajemniczej arki stworze-

nia, do owego zaklętego gmachu. Powyżej bram tych wszystko jaśnieje jakby wróżbą wewnętrznej świętości. Nad bocznemi bramami stoją fantastyczne klasztorki, wewnętrzne krużganki epoki. U środka jaśnieje jakby słońce, olbrzymie koliste okno. U góry trzy równoboczne marmurowe trójkąty, symbole Trójcy. Środkowy trójkąt i najwyżej położony i największy, i w tem jest może odblask jakiegoś heretycznego mniemania. Ale mnóstwo teologicznych symbolów, w postaci mozaik i posążków, czyni front cięższym. Widać tu i lwy i byki, i orły i rośliny różne i postacie ludzkie. Wszystko potrzebuje komentarza, a prawi tylko wyraźnie o mnogiem życiu, co wyszło z łona materyi.

Gdy się odważysz przejść przez groźne bramy, gdy się wedrzesz do jądra tajemnicy, do piero nic nie rozróżnisz wśród głośnej i chaotycznej niezgody barw i kształtów. Po chwili poznasz najpierw, żeś gdzieś we wnętrzu ziemi, bo wszędzie do koła widzisz lśniące stratyfikacye poziomego, przyginatającego czarnego i białego marmuru. Tylko nad głową jama roztwarta. Nie jesteś w grobie, bo widzisz na wywyższeniu krągłe sklepienie, podzielone na trójkąty za pomocą złoconych ram. W każdym trójkącie jaśnieją złote gwiazdy na błękitnem tle. Dostrzegasz przemienione nocne niebo nad rozwartym grobem.

A jeszcze po chwili, a przekonasz się, że nie jesteś wśród martwoty, jedno wśród niezmiernie mnogiego życia, co w matce ziemi, i w kamiennych jej pokładach czerpie swój początek. Jakiś kościelny las, na poły kamiennej, a na poły roślinnej natury otoczył cię zewsząd. Wszędzie dokoła widzisz chaotycznie ustawione kolumny, których głownice wieńczone złotym liściem dębowym. Po cztery kolumny zrosło się razem w jeden filar, w jedno drzewo, smukłe, lotne. W środkowej nawie takich drzew i z jednej i z drugiej strony dwanaście. Do pewnej wysokości zupełnie swobodne po pierwszej głownicy rozsełają gałęzie, owe gzymsy koliste i złocone, co sklepienie dzielą i łuki tworzą. Po tem, ponad łukami bocznych naw pędzą jeszcze do góry smukłe filary wrośnięte w mur, by u szczytu, po nowej głownicy wydać z siebie gałęzie dzielące sklepienie głównej nawy na trójkąty, nowe symbole niebieskiej trójcy. Nawa główna niczem nie przerwana, wzdyma się w jednem miejscu tworząc dziwną sześciokątną kopułę, obsianą gwiazdami na niebieskiem tle, i podzieloną na zwyczajne trójkąty. Z jednej i z drugiej strony widać to rzadsze, to częstsze, niskie nawy boczne, jakby linie wśród kamiennego, lśniącego, zduchowniałego, idealnego lasu. Jest czasem naw wszystkich trzy, jest ich czasem pięć, a czasem siedm, i mnożą się swobodnie jakby wśród łona natury, a potem znów ubywają, tworząc tak niewyraźny krzyż.

Jest to tedy powtórzenie niższych form bytu, uidealizowane przez konieczną jednostajność budownictwa. Jest tu życie mnogie a niewyraźne, jak myśl mistycznych filozofów, i duchowne i poziome, niezgodne z sobą co do istoty swej i kierunku swego. Do koła pełno dziwnych obrazów, symbolów, mozaik. Nawet na posadzce fantastyczne widać rysunki. Człowiek gubił się w tym kościele, i zdawało mu się, że dał się otoczyć przez siły natury. Jak alchemik w laboratoryum musiał się przypatrywać każdemu szczegółowi na to, aby choć trochę zrozumieć. Gdy go wtajemniczono w symbolikę, coraz nowe rzeczy czytał na ścianach, w przeciwnym razie wsłuchiwał się w tajemnice kamieni, jakby w niezrozumiałą mowę natury. Zawsze coś trochę rozumiał; rozumiał krzyże i trójkąty, a przed resztą drżał, jak przed tem, czego się nie zna. Wreszcie dostawał zawrotu głowy, i zdawało mu się, że słyszy dziwne jakieś hałasy, nad któremi góruje śpiew kościelny. Sam zwierzęciał, stawał się rośliną i kamieniem ku chwale niezrozumiałego Boga. Kto ten kościół ukocha, ten nie od razu pozna się na greckiej sztuce, a kto klasyczne podziwia wzory, temu źle będzie w Sienie. *Piazza* w Sienie nadzwyczaj piękna. Nie ma na niej wcale budynków pospolitych. Prócz katedry widać na niej same pałace, pięć wież zdobi ją, a wielkie arkady zakończyły ją.

Cztery wieży mniejsze strzeliłe z fasady kościoła. Składają się z samych prawie okienek, zakończonych w ostrołuk, i ze spiczastych daszków. Wielka dzwonnica stanęła w tyłach kościoła, przyobleczona w pasy marmurowe podobnie jak kościół. Dół jej masywny, ku górze coraz liczniejsze romańskie okienka, a u samego szczytu znów dach spiczasty z krzyżem. Ale gotycyzm święci swoje święta w głębi placu. Stanęły tu ostrołuki, fantastyczny a mistyczny i bardziej już chrześcijański pomysł tegoż *Giacoba*, pomysł do kościoła jakiegoś niezmiernych rozmiarów, do kościoła co miał ulatywać do nieba jakby jakaś kolosalna modlitwa z marmuru; do kościoła co nigdy nie został wykonanym, bo wykonanym być nie mógł, bo był utopią i zuchwałym snem artysty. I tu po cztery kolumny związane w filary tak cienkie, tak nikłe, tak smukłe, tak lotne, że ledwie są istotą kamienną, że wydają się promykami z marmuru. Nikomu ni wpierw ni potem nie śniło się o takiej kamiennej pajęczynie. A jednak wspinają się po nad te filary łuki wielkie. Cienki, zgięty, kolisty, marmurowy mur wsparty o filar goni do góry, ale zanim przejdzie w pionową i spadającą linią, spotka drugi takiż łuk biegnący naprzeciw, i obaj stworzą duchowną, idealną, a niecielesną prawie istotę, której treścią widok na jasne niebo; ostrołuk gotycki, trójkątny, równoboczny, ulatujący, jakby na niczem nie wsparty. Każdy jego bok oznacza osobę trójcy, a całość jego tak cienka, i śmiała, i eteryczna, że ni muru, ni sklepienia dźwignąć nie zdolna, stoi jako arcywzór lotnego fantastycznego czarodziejstwa. Nie podobna odgadnąć co budowniczy chciał wystawić. Po jego marzeniach został na ziemi toskańskiej ostrołuk. W niem chrześcijaństwo widzi drugi symbol swój. To na wskróś duchowna istota, pędząca do góry i tęskniąca do nieba, stworzona jakby na podobieństwo Boga trójjedynego, mniej wyraźna, ale i mniej cielesna od starogreckiej kolumny.

(C. d. n.)

CIĘŻKO PANIE BRACIE!

— Witam, witam panie Janie!
— Witam, witam panie Procie!
— Jakże się miewacie?
— Jak to zwykle w chudym stanie.
— I ja nie opływam w złocie.
— Ciężko panie bracie!
— Dokąd tak rano? — Do biura.
— A i ja. — Przeklęta dziura.

— Dziś mi coś, jakoś dolega;
Możebyśmy gdzie wstąpili
Na gorżkie kropelki?
— Jak tam uważasz kolega,
Mnie do biura nic nie pili.
— Tak, na dwa kufelki,
Ot tu nieźle czasem bywa.
— Ha! dobrze! — Chłopcze! dwa piwa!

— Bo to proszę pana Prota,
Zoneczka, pięcioro dzieci,
Że aż pęka głowa.
— I u mnie tak, nie dziwota,
Prawie się dziurami świeci,
Niechaj Bóg uchowa.
Już to komu los doskwiera,
To... Chłopiec! dwie porcye sera!

— Bo to proszę pana Jana,
Ledwo człowiek się obudzi,
Zaraz daj talara!
— A i mnie żonka kochana
Wiecznie o pieniądze nudzi;
Istna boża kara.
A tu fundusik nie wielki,
Chłopiec! jeszcze dwa kufelki!

— Dzisiaj, proszę pana Prota,
Dziewięć złotych wola żona
Na same trzewiki!
— A moja znowu hołota
Wzięła na kieł, że uczona,
Daj na gramatyki!
A nie daj, to zaraz płacze,
Chłopiec! hola! dwa sandacze!

— Ja bo, proszę pana Jana,
Moją zagadam slodziutko;
I w nogi do miasta.
— A ja, chociaż zapłakana,
Moją zawsze trzymam krótko;
Nie dam nic i basta.
Daję wam słowo honoru,
Chłopiec! pół funta kawioru!

— Najgorsze to te procenta;
Z nimi to największa bieda;
Tego to nie lubię.
— Prawda, ta lichwa przeklęta!
I ja mam być dziś u żyda,
Znowu mnie oskubie.
Dość, że gdzie dotkniesz, to rana;
Chłopcze! butelkę szampana!

— Tak, kochany panie Procie!
— Tak, kochany panie Janie!
— Zdrowie w wasze dłonie!
— Niechże was obsypią krocie!
— Nlech wam się milion dostanie!
— Nie mówcie nic żonie!
— Szampanik, choć pocałować!
— Trzeba firmę zanotować!

M. Rodoć.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Od jeziora Lomond do jeziora Katrine.

Henryk zniósł na dół Helenę; inżynier i Jakób szli obok niego. Po kilkugodzinnym wypoczynku i posilnem śniadaniu w hotelu Lambret, pomyślano o dalszej wycieczce w okolicę jezior.

Nelly odzyskała siły. Oczy jej przywykły już do światła dziennego, a pierś swobodnie oddychała świeżem tem i ożywczem powietrzem. Drzewa pełne zieleni, różnobarwne kwiaty i rośliny, błękitne sklepienia niebios, rozwijały przed zdumionym jej wzrokiem całe bogactwo rozlicznych kolorów i odcieni.

Koleją żelazną z głównego dworca dojechali do Glasgowa; noc spędzili w hotelu Królewskim, nazajutrz zaś pociągiem tejże samej kolei udać się mieli przez Dumbarton i Balloch do południowego brzegu jeziora Lomond.

— Jest to okolica tak poetycznie wysławiona przez Walterskota! — zawołał inżynier.— Czy znasz Jakóbie, miejsca te — w których przebywali *Rob Roy* i *Fergus Mac Gregor?*

— Znam je tylko ze śpiewów — ale nie wątpię, że piękną musi być okolica, którą tak cudownie opiewano!

— I niewątpliwie jest nią — a kochana nasza Nelly najmilsze zachowa o niej wspomnienie.

— Z takim przewodnikiem jak pan, panie inżynierze, rzekł na to Henryk — wycieczka nasza podwójną przyniesie nam korzyść, bo kiedy my przyglądać się będziemy okolicy, pan zaraz opowiesz nam jej historyę.

— I owszem, mój kochany, — gotów jestem opowiadać, o ile mi pamięć dozwoli.

Koleją żelazną z Glasgowa do Balloch nie ma więcej jak dwadzieścia mil angielskich.

Minęli już Dumbarton, miasto królewskie i stolicę hrabstwa, której zamek, ufortyfikowany w myśl traktatu unii, wznosi się malowniczo na dwóch szczytach wyniosłej bazaltowej skały.

Dumbarton leży u zbiegu rzek Clyde i Leven. James Starr nie omieszkał przypomnieć, że z tego właśnie zamku wyjechała Marya Stuart do Francyi, aby zaślubić Franciszka II i zostać królową francuską. Tu także po roku 1815 ministerstwo angielskie zamierzało internować Napoleona; ale w końcu przeważył wybór św. Heleny, i złamany bohater poszedł kończyć żywot swój na odludnej skale Atlantyku, aby na skroń ozdobioną wieńcem sławy, włożyć jeszcze skromny wianek legendowej aureoli.

Niezadługo pociąg zatrzymał się w Balloch, tuż po nad drewnianym pomostem prowadzącym aż nad brzeg jeziora. Statek parowy, *Sinclair*, oczekiwał w tem miejscu na turystów pragnących zwiedzić okolice, podróżni też nasi wsiedli nań zaraz, wziąwszy bilety aż do Inversnaid na pół-nocnym krańcu jeziora Lomond.

Dzień rozpoczął się przepysznem słońcem, wolnem zupełnie od wszelkich naleciałości mglistych, tak zwykłych w klimacie Wielkiej Brytanii. Dzięki tej wyjątkowej okoliczności, żaden szczegół wspaniałego krajobrazu, jaki rozwinąć się miał na przestrzeni trzydziestu mil, nie mógł ujść badawczego oka pasażerów Sinclair'a. Nelly, inżynier i Henryk zajęli miejsca na tylnym pokładzie, poddając się miłym wrażeniom i napawając się cudownym widokiem poetycznej szkockiej przyrody.

Jakób nie mógł usiedzieć na miejscu; biegał tam i na powrót po pokładzie, zasypując co chwila pytaniami inżyniera, którego zresztą zbytecznem było zachęcać, w miarę bowiem jak przesuwały się przed nimi miejsca upamiętnione w Rob-Roy'u, opowiadał o nich zajmujące szczegóły z zapałem prawdziwego amatora.

Na początku zaraz jeziora Lomond ukazały się w niezmiernej ilości drobne wysepki i kępy, jakby rozsiane po wód przestworzu. *Sinclair* przepływał pomiędzy niemi, a oczom podróżnych ukazywały się naprzemian to zieleniejące doliny, to znowu dzikie pustkowia, najeżone skałami.

— Trzeba ci wiedzieć, Nelly — mówił James Starr — że do każdej z tych wysepek przywiązana jest legenda, że każda z nich ma swoją oddzielną spiewkę, tak samo jak i wszystkie te góry, otaczające jezioro. Można powiedzieć bez przesady, że dzieje całej tej okolicy skreślone są olbrzymiemi głoskami, utworzonemi ze skał i wysepek.

— Czy wiesz pan, — przerwał mu Henryk — co mi przypomina ta część jeziora Lomond?

— I cóż takiego?

— Tysiąc wysp jeziora Ontario, tak cudownie opisanych przez Coopera. I ciebie, Nelly, musiało uderzyć to podobieństwo — dodał zwracając się do dziewczęcia — gdyż właśnie przed kilku dniami czytałem ci ten romans znakomitego amerykańskiego powieściopisarza?

— W samej rzeczy, Henryku, porównanie twoje jest nadzwyczaj trafnem, a *Sinclair* przemyka tak samo pomiędzy temi wyspami, jak na Ontario kuter Jaspera Słodkiej wody.

— Nieznam tysiąca wysp jeziora Ontario — przerwał im inżynier — ale pewny jestem, że widok ich nie był więcej urozmaiconym od archipelagu jeziora Lomond. Przypatrzcie się tylko! Oto wyspa Murray, z odwiecznym zamkiem Lennox, w którym mieszkała stara księżna d' Albany, po stracie ojca, męża i dwóch synów, ściętych z rozkazu Jakóba I. Tu wyspa Clar, tamte dwie Cro i Torr, jedna dzika i skalista, druga znów uśmiechająca się bujną zielonością...

Jezioro, szerokie z początku na trzy do czterech mil, zaczyna się zwężać w okolicach maleńkiego portu Luss. W tem miejscu *Sinclair* skierował się ku północy i oczom turystów naszych ukazał się Ben Lomond wznoszący się do wysokości trzech tysięcy stóp nad poziomem jeziora.

— Prześliczna góra! — zawołała Nelly. — Co to za widok wspaniały musi być z jej szczytu!

— Nie mylisz się, moje dziecię — rzekł inżynier. — Z wierzchołka tej góry widzieć można większą połowę naszej starej, poczciwej Kaledonii. Tu, nad wschodniem wybrzeżem jeziora, klan Mac Gregora odbywał swe narady; nieopodal Hanowerczycy staczali krwawe potyczki z Jakobitami; tam, z poza góry, wśród pięknej nocy, wznosi się blady księżyc, nazywany w starych podaniach „latarnią Mac Farlana" — tam echa po dziś dzień powtarzają niespożyte imiona Rob-Roy'a i Mac Gregora Campbell!..

— A kiedy pomyślę — dodał po chwili,— że cały Ben Lomond należy do księcia Montrose!... Jego Łaskawość posiada sobie górę, jak jaki mieszczanin londyński kawałek murawy w swoim ogródku!...

Tymczasem *Sinclair* podpłynął do wioski Tarbet po przeciwnej stronie jeziora, gdzie wysiedli podróżni, udający się do Inverrary. Z tego miejsca Ben Lomond przedstawiał się w całej swej uroczej piękności. Boki jego wyżłobione potokami, błyszczały na słońcu, jak mieniące się srebrzyste wstęgi.

W miarę posuwania się wzdłuż góry, okolica stawała się coraz dzikszą. Gdzie niegdzie tylko ukazywały się pojedyncze drzewa, a między niemi i owe wierzby, których gałązki używane były dawnemi czasy do wieszania ludzi z niższego stanu.

— Dla zaoszczędzenia konopi — zauważył James Starr.

Jezioro zwężało się coraz bardziej w kierunku północnym, pomiędzy tłoczącemi je nadbrzeżnemi górami; parostatek opłynął jeszcze kilka wysp i wysepek, między niemi Inverneglas i Elladwhon, na której widać jeszcze ślady fortecy należącej niegdyś do Mac-Farlanów — nakoniec brzegi znowu się rozbiegły i *Sinclair* zatrzymał się na stacyi Inversaid.

Zanim przysposobiono śniadanie, Nelly wraz z towarzyszami swymi, poszła zwiedzić gwałtowny potok, o kilkadziesiąt kroków od przystani spadający do jeziora z dość znacznej wysokości. Wyglądą on jakby umyślnie był tu sprowadzony dla przyjemności turystów; lekki most wiszący trząsł się i drżał po nad szumiącym wodospadem. Z tego punktu odkrywał się widok na większą część jeziora Lomond, a *Sinclair* wydawał się już jak drobny czarny punkt na jego powierzchni.

Po śniadaniu wypadało pomyśleć o dalszej podróży do jeziora Katrine. Liczne powozy z herbami rodziny Breadalbane — tej samej, która niegdyś dostarczała zbiegłemu Rob Roy'owi drzewa i wody — czekały na rozkazy podróżnych, zapewniając im wszelkie wygody, jakiemi wyróżnia się od innych krajów Anglia pod względem prywatnych środków komunikacyjnych.

Według ówczesnego zwyczaju Henryk umieścił Nelly na wierzchniem siedzeniu powozu i sam zajął obok niej miejsce wraz z towarzyszami podróży. Okazały stangret, w ponsowej liberyi, ujął lejce czterech dzielnych koni, i powóz ruszył pod górę, tocząc się brzegiem potoku.

Droga była spadzista; w miarę podnoszenia się jej w górę, najbliższe szczyty zmniejszały się pozornie, gdy tymczasem na przeciwnym brzegu jeziora piętrzyły się coraz wyżej i bliżej ku niebu wierzchołki Arrohar, dominujące nad doliną Inverglas. Na lewo odznaczał się Ben Lomond, ukazujący teraz spadzistą pochyłość północnych swoich stoków.

Okolica pomiędzy jeziorami Lomond i Katrine, dziki ma pozór. Dolina pomiędzy skałami rozpoczyna się ciasnymi wąwozami, kończącymi się w niedostępnych przepaściach Aberfoyle. Nazwa ta, nieostrożnie wypowiedziana, przypomniała Helenie straszne pieczary podziemne, w których młodociane spędziła swe lata, co spostrzegłszy James Starr nieomieszkał rozerwać ją opowiadaniem wypadków, jakie według poetycznych legend wydarzyć się miały w tych miejscach.

Przedmiotu do opowieści nie brakło mu wcale, bo w tej właśnie okolicy, Rob Roy spędził większą część swego życia i na każdym prawie kroku zostawił wspomnienia po sobie. Wznosiły się tu góry wapienne, ponure i smutne z pozoru; obok nich nędzne szałasy, podobniejsze do jaskiń dzikiego zwierza aniżeli do ludzkich mieszkań, kilkoro dzieciaków, z włosami bez żadnej wybitnej barwy, wskutek ciągłych zmian powietrza, bawiło się na drodze, z głupowatą ciekawością przypatrując się przejeżdżającym.

— Okolica, którą przebywamy w tej chwili — ciągnął opowiadanie James Starr — powinna właściwie nazywać się ziemią Rob-Roy'a. Jednego kroku niepodobna zrobić w tych stronach, żeby nie obudzić wypadków tak poetycznie opisanych przez Walter-Scota.

Nie powtarzając za inżynierem długich jego cytat z ulubionego powieściopisarza, wspomnimy tylko, że powóz unoszący naszych turystów, zagłębił się tymczasem w zacieśnioną dolinę, bardzo odpowiednią na miejsce popisów dla duchów wywoływanych niegdyś przez słynną Mag Merrilies. Małe jezioro Arklet zostało po lewej ręce, a powóz potoczył się nader spadzistą drogą, wiodącą do oberży Stronachlaher, nad jeziorem Katrine.

1) Płynąłem nim także (w r. 1899)

Tam, w niewielkiej przystani, kołysał się mały parostatek, nazywający się, jak łatwo odgadnąć, *Rob-Roy.*[1] Podróżni nasi wsiedli nań zaraz, gdyż bezzwłocznie miał odpłynąć.

Jezioro Katrine na dziesięć mil swej długości szerokie jest tylko dwie mile angielskie — początkowe jednak wybrzeża jego zachowują jeszcze pewien poważny charakter.

— Otóż jesteśmy nareszcie na tem jeziorze — zawołał inżynier — które z wielką słusznością przyrównano do długiego węgorza! — Utrzymują, że jezioro to nie zamarza nigdy; nie wiem, ile jest w tem prawdy, ale nie należy zapominać, że ono to było świadkiem czynów *Dziewicy jeziora.* I prawie pewny jestem, że gdyby przyjaciel nasz Jakób dobrze się przyjrzał, spostrzegłby niezawodnie przelatujący na szklistej jego powierzchni lekki cień pięknej Heleny Douglas.

— I dlaczegożbym nie miał jej zobaczyć, panie Starr? — dlaczegożby owa piękna dama nie miała być również widzialną na jeziorze Katrine, jak widzialne są sylfy kopalni na wodach jeziora Malcolm?

Była godzina trzecia po południu. Już przepłynęli wązki przesmyk pomiędzy dwiema skałami Ben An; już w odległości nie całej mili zarysował się na horyzoncie przystanek, gdzie *Rob-Roy* wysadzić miał podróżnych udających się do Stirling przez Callander — zbliżał się już ostateczny kres wycieczki.

Nelly czuła się niewymownie znużoną skutkiem ciągłego natężenia umysłu. Z ust jej co chwila wydobywał się jeden i ten sam wykrzyk: „Boże mój! jakże to piękne!“ Potrzebowała koniecznie kilku godzin wypoczynku, chociażby dla tego tylko, aby wszystkie oglądane cuda tem dokładniej utrwalić w pamięci.

W tej chwili Henryk wziął ją za rękę i spoglądając na młode dziewczę z głębokiem wzruszeniem, przemówił:

— Nelly, droga moja Nelly, niezadługo powrócimy do posępnych naszych podziemi. Czy nie będziesz żałować tam tych wszystkich pięknych rzeczy, jakie ujrzałaś w ciągu kilkunastu godzin przy blasku światła dziennego?

— Nie, Henryku — odpowiedziała — żałować nie będę. Utkwiły mi one w pamięci na zawsze, ale szczęśliwa i uradowana, powrócę z tobą do naszej ukochanej kopalni.

— Nelly — mówił dalej młodzieniec, napróżno usiłując pokryć swoje wzruszenie — Nelly czy życzysz sobie, abyśmy zostali połączeni świętym węzłem, w obliczu Boga i ludzi? Czy chcesz zostać moją żoną?

— Chcę, mój przyjacielu — odrzekła Nelly, zwracając ku niemu czyste swe spojrzenie — chcę tego, jeśli sądzisz, że zdołam zapewnić twe szczęście....

Niedokończyła jeszcze słów tych, zawierających w sobie całą przyszłość ich obojga, gdy zaszedł nagły, niepodobny do pojęcia wypadek.

Rob-Roy, jakkolwiek pół mili jeszcze oddalony od brzegu, zatrząsł się cały jakby wskutek uderzenia o skałę. Spód statku oparł się aż na dnie jeziora i pomimo wszelkich wysileń maszyny, niepodobna było ruszyć się z miejsca.

Że wypadek taki musiał nastąpić, łatwo odgadną czytelnicy, skoro dodamy, iż jezioro Katrine, poczynając od północnej jego części, opróżniło się nagle, jakby niezmierny upust zrobiony został w jego łożysku. W ciągu kilku sekund wyschło zupełnie jak nadmorskie wybrzeże podczas największych odpływów morza w epoce porównania dnia z nocą.

— Przyjaciele moi! — zawołał James Starr niezmiernie przestraszony, jakby odgadł przyczynę tajemniczego zjawiska — błagajmy Boga, aby ocalił Nową Aberfoyle! (C. d. n.)

LISTY Z PODRÓŻY.

Sygurda Wiśniowskiego.

Antwerpia 1go września 1877.

Podróżowanie, zwłaszcza na lotnym, gościnnym statku angielskim, tworzyłoby najprzyjemniejszą przerwę codziennych kłopotów, gdyby się można pozbyć myśli o tem, co podróżnik znajdzie w domu — o zaległościach, pracach odroczonych, listach zapylonych, oczekujących odpowiedzi, słowem o ciężkiej pracy, którą wypadnie odpokutować i wynagrodzić czas stracony. I może się dobrze dzieje, że taka myśl popędza do powrotu niektórych ludzi — inaczej życie ich byłoby bezustanną włóczęgą.

Odrabiając swój dług dla czytelników Tygodnia mogę sobie powinszować, że okoliczności ułatwiają moją pracę. Piszę z Antwerpii, do której przybyłem przed tygodniem, w sam czas, aby pomagać harmiderującym Flamandczykom w uczczeniu pamięci Piotra Pawła Rubensa.

Dla Nas — wielkie N — obchód ten ma swoje znaczenie, przypominając cokolwiek własne utrapienia. Jubileusz w Antwerpii nie tyle zmierza do przypomnienia mistrza (gdyż już w r. 1840 oddano mu w temże mieście hołd podobny w dwuchsetną rocznicę jego zgonu), ile do wykazania światu, że Rubens był synem Antwerpii, z antenatów, z krwi i kości, z przywiązania do niej, z życia w niej, a może i z urodzenia w jej krętych, ciasnych, malowniczych ulicach.

Co do ostatniej kwestyi nie śmiem nic stanowczego napisać, nie pragnąc, aby mnie zaliczono do zastępu półmędrków, co wedle angielskiego przysłowia włażą śmiało, kędy aniołowie nie odważają się zagłębić i wyrokują ryczałtowo, gdy specyaliści wahają się z wydaniem sądu. Cały ten spór obraca się na frazesie listu matki wielkiego malarza, na podejrzanych dokumentach, dobywanych z archiwów miast, kłócących się o kolebkę Rubensa, nakształt grodów Hellady o Homera. Ale znaczy jednak pytanie, czy matka wydała syna w Kolonii, Siegen, lub Antwerpii, jeżeli ten syn zawsze się nazywał *civis Antwerpiae*, jeżeli przodkowie jego mieszkali tu przez trzy wieki przed nim, zajmując poczesne miejsca w profesyi garbarzy, z dodatkiem, że niekiedy trudnili się aptekarstwem. Jubileusz dowiódł tego stu tysiącom przedstawicieli rozmaitych krajów, nie wykluczając Niemców. O to też chodziło głównie Antwerpczykom.

My pojmujemy łatwiej niż ktokolwiek boleść ich, gdy żarłoczny sąsiad, niesyt prowincyi i ludów które pożarł, chciał im ukraść ich chlubę twórcę i perłę ich szkoły malarskiej, mistrza, ktorego pędzel zmienił ich gród w muzeum kunsztu, ku pielgrzymce narodów. My też zrozumiemy ich radość z powodzenia jubileuszu, z uznania, jakowe otrzymali od gości dla swoich roszczeń.

Przyznajmy im, że niczego nie zaniedbali, aby przedstawić się w najlepszem świetle, oraz uprzyjemnić gościom dnie spędzone nad mętami Scheldt'y. Zapomnieli nawet, o tradycyjnem skąpstwie belgijskiem które objawiają we wszystkich innych swoich stosunkach, czasem nieznośnie, a częściej zabawnie. Tym razem nikt nie szczędził grosza i pracy, aby dowieść miłości Antwerpii dla pamięci swojego syna największego. Miasto wyprawiało festyny godne rzymskich Cezarów lub londyńskich aldermanów. Przepych procesyi, illuminacyi, bram tryumfalnych zaćmił niejedną podobną wystawę, urządzoną przez milionowe miasta. Ale dobitniejsze, tkliwsze dowody zapału dał lud sam. Najuboższa rodzina oczyściła, pomalowała, umaiła, ustroiła w sukienkę bander swoje domostwo; wszystkie stany Antwerpii, wszyscy mieszkańcy prowincyi dokoła odbiegli przez czas jubileuszu zajęcia swoje — poświęcenie wielkie dla tego pracowitego, przeludnionego krajiku — co lepiej, zapomniano o waśniach religijnych i politycznych, zaprowadzając rodzaj *Gottesfrieden* — Bożego rozejmu — póki trwał jubileusz. Żeby zrozumieć wartość ostatniej ofiary, wypada żyć tu dni kilka po jubileuszu, jak ja uczyniłem, słuchać sporów sięgających od salonu magnata handlowego, do *estaminets,* w których robotnicy piją piwo i palą z zabawnych, brudnych fajek glinianych. Tu, gdzie liberalizm i ultramontanizm waśni ojca z synem, nie pozwala kochankowi pójść do ołtarza z ulubioną, zmienia statecznych mieszczan połnocnych w ogniojadów nakształt Gwelfów i Gibellinów, tu niełatwo skłonić do rozejmu. Z obu stron nie brakło żądeł drażniących. Liberalni, odwołując się do znanych poglądów Rubensa, bardzo postępowych jak na ów czas i stosunki, niecierpliwili się, gdy np. jezuici skorzystali z jubileuszu, aby przedstawić wielkiego mistrza jako swego pupila (w istocie, podobno uczęszczał do ich szkoły), tudzież członka bractw, które oni stworzyli. Ponieważ jubileusz wypadł jednocześnie z wielkim tutejszym *kermessem* (odpustem), więc udało im się wyzyskać go w rozmaite sposoby, kolące przeciwników, jednakże ci znieśli to cierpliwie. Ze swojej strony nie posunęli ultramantanie żadnej manifestacyi do ostateczności. I tak, król belgijski nie przybył na obchód, aby nie sprowadzać ministrów, których pokazanie się wywiera zawsze skutek podobny na liberalny gmin tutejszy, jak czerwona kołdra na byka. Podczas festynów miejskich, urządzonych przez postępową municypalność, stronnictwo przeciwne nie występowało z mowami, dla świętej zgody wobec gości. Kto nie zna stosunków tutejszych, mógłby sądzić, że obcuje z narodem martwym pod względem stronniczych niesnasek, podczas gdy rzeczywiście krążył po mieście, którego życie publiczne przypomina nieraz włoskie rzeczypospolite średniowieczne, lub zaciekłość partyi na bizantyńskim hipodromie.

Stuletnie jubileusze stały się w ostatnich latach rzeczą cokolwiek powszednią; sposoby urządzania takich parad kombinowano już tyle razy, że wyczerpano prawie kombinacye, podobnie jak powieściopisarze angielscy wyczerpali romansowe intrygi. Tylko dzięki wybornemu położeniu Antwerpii i obfitości arcydzieł zawartych w sobie, potrafiła ona zatrzymać przez 8 dni tłok turystów, z których większa część przesyciła się gwarem i przepychem rozmaitych wystaw i obchodów, a wszyscy narzekali na brak i drożyznę pomieszkań w niewielkiem mieście. Dodajmy, że niepogoda uwzięła się, aby zepsuć jubileusz. Przez cały tydzień prawie lało lub kropiło. Burza obalała bramy i maszty z banderami, plucha gasiła pochodnie, lampy, fajerwerki, zamazywała malowidła. Tłumy na bulwarach musiały się bawić pod parasolami; patrząc z *quai* na regatty przemakały do nitki. O wszystkiem zapominaliśmy jednak, gdyż gród Rubensa przepełniono przedmiotami zajmującemi, od których trudno odejść, do których powracamy z upodobaniem, gdyż każdego szczegół wionie duchem arcymistrza. Żadne brabanckie lub flamandzkie miasto nie zawiera tylu arcydzieł, kościołów tak pięknych, tak licznych, interesujących relikwii po wielkich mężach.

Z rzeczy umyślnie zebranych dla uświetnienia obchodu wymienię tylko zbiór z 1500 rycin, stalorytów i rozmaitych dzieł Rubensa, przysłanych z najrozmaitszych prywatnych zbiorów europejskich; przeszło 1200 fotografii wszystkich znanych jego malowideł, cudną galeryę obrazów, wybraną starannie przez komisyę zwaną *Comission du Nu* (niestety z powodu tematów wielu obrazów wybranych), celem najzupełniejszego przedstawienia wszystkich mistrzów szkoły flamandzkiej i holenderskiej. Przechadzka po tej galeryi zastępuje czytanie tomów historyi brabanckiego kunsztu.

Z uroczystości celem uświetnienia jubileuszu zasługują mianowicie na wspomnienie słynna kantata Benoit, odspiewana na placu Verte, u stóp pomnika Rubensa, przez wyborny chór z 1200 głosów. Oprócz orkiestry akompaniowały jej trąby ze szczytu wieży katedralnej, a niekiedy odzywały się karylony — owe rzewne, cudne, dobrane karylony Antwerpii, które zaćmiły oko i wzruszyły serce niejednego podróżnika, co dzwoniły jeszcze Rubensom i Van Dyckom u kropielnicy i furty cmętarnej. Trudno opisać efekt tego chóru i akompaniamentu na zgromadzeniu stutysięcznem, zapełniającem plac i przyległe ulice.

Na cześć mistrza odsłoniły władze municypalne piękny biust jego, w przedsionku muzeum, a deputacya francuska uwieńczyła jego nagrobek w kościel-

Saint Jacques — tym samym, co zawiera znane arcydzieło „Matki Bożej z dzieciątkiem Jezus wobec św. Hieronima.“

Wieczorem odbywały się procesye przy świetle niezliczonych procesyi, urozmaicone allegoryjnemi żywymi obrazami na olbrzymich wozach. Stroje osób naśladowały co do nitki kostiumy z epoki Rubensa. Grupy przedstawiały znakomitsze wypadki owych czasów, walki z Hiszpanami, tryumfy wojenne i pokojowe, rzeczy przekazane potomności przez genialnych malarzy i historyka takiego, jak Fryderyk Schiller. Niestety, Antwerpczycy grzeszą często brakiem smaku, a może owej „rozwagi“, której znaczenie w sztuce przypomniała tak dobitnie pewna praca, drukowana w Tygodniu. Więc zgrzeszyli oni nieraz, przyprawiając do pięknych rzeczy cudactwa godne tylko jarmarku. I tak, szła procesya wioząca olbrzymią kopię „Zdjęcia z krzyża“ (ozdoby tumu tutejszego), wóz allegoryjny, przepyszny „*Fiat Lux*“ i grupę przedstawiającą przyjaciół Rubensa, z mistrzem w środku, jakby wyciętym ze znanego portretu pędzla Van Dycka — a za tem wszystkiem wlekli figury z malowanego papendeklu, mające 30 stóp wysokości i wieloryba z papendeklu, dwakroć większego, niż największy potwór morski. Dla ludzi z wykwintnym smakiem był to zgrzyt ohydny wnet po miłej harmonii, ale ludek belgijski najbardziej się zachwycał temi obrzydliwościami.

Ludek ten, mówiąc nawiasem, wystąpił chlubnie. Od kiedy stary Ren i Scheldta stworzyły Żuławy, pewno nie widziano tyle krępych, dobrodusznych, nieprzystojnych Flamandczyków i Flamandek w obrębie jednego grodu. Chłopstwo mianowicie wysypało się jak żołnierze na rewię. Takie bluzy, takie fajki! takie czepki, zasłaniające zazdrośnie jedyną ozdobę szorstkich niewiast fryzyjskich — warkocze — takie massywne, szczerozłote, po pra-pra-babkach odziedziczone ozdoby, obwieszone dokoła głowy z assyryjską lub egipską obfitością! takie jaskrawe chusty, takie króciutkie, karmazynowe spodniczki, takie ogromne nogi w jeszcze większych sabotach!

A jaki to grzeczny i stateczny ludek! Jak on cierpliwie oblega przez pół dnia drzwi do teatru, w którym z powodu jubileuszu grają bezpłatnie, po flamandzku, aby potem sprzedać swoje kontramarki cudzoziemcom po pięć franków! Punkt o dziewiątej wieczór rozchodzi się — ulice jak wymiecione; zato estaminets zapełniają się. Antwerpczycy gwarzą w nich o cudach dziennych, piją więcej piwa od Bawarczyków, palą zawzięciej od Turków, klną Niemców do północy, za to że im chcieli zabrać Rubensa, a potem idą najspokojniej do domu. Wątpię, czy przez cały czas jubileuszu aresztowano chociażby jednego tubylca. Nie wiem jednak, coby się stało, gdyby kto był wyrażał zdanie, że Rubens urodził się w Siegen, nie w sierpniu, lecz w lipcu. Za ten *crimen lesae majestatis* przeciw Antwerpii gotowiby ukamienować śmiałka.

Brak taktu Antwerpczyków obiawił się w kilku innych rzeczach, jak np. w zbytnim nacisku na wystawę „Plantina“, ojca flamandzkiego drukarstwa, którego dom zmieniono w muzeum drukarskie. Rzecz to ciekawa, lecz nie w parze z jubileuszem Rubensa. Widocznie chciano zaćmić nas dowodem wszechstronności zasług Antwerpii. Jeszcze trudniej wytłumaczyć wystawę rolniczą i ogrodownictwa. wplątaną w jubileusz jak Piłat w Credo, z wymówką, że malarze flamandzcy lubili malować krowy i kwiaty, więc potomstwo ich modelów wypada pokazać gościom. Gdyby chciano pokazać wszystkie modele tej niewybrednej szkoły, wypadałoby zejść do fajek glinianych i pietruszek i wielu innych rzeczy.

Podczas jubileuszu odbywały się też kongresy rozmaitych stowarzyszeń. Nie mam wielkiego szacunku dla zebrań tego rodzaju. Gdzie się zjedzie 2000 mierności, aby stworzyć kółko wzajemnej. adoracyi, czytać sobie rozprawy, co nie mogą znaleść wydawcy i wietrzyć rozmaite doktryny, tam prawdopodobnie nie spotkamy rzeczywistej zasługi i wielkości. Więc też i zjazd np. literatów belgijskich (sic) nie dał mi wysokiego pojęcia o tych szowinistach, co wykluczywszy ze swego kongresu wszystkich Belgijczyków piszących po francusku, lub po holendersku (nawet Henryka Conscience, nie wpuścili do obrad) wypędzili wszystkie znakomitości ze swego grona. Któryż pisarz łaknący sławy i chleba mógłby pisać wyłącznie po flamandzku?

Lecz spostrzegam, że rozpisałem się o jubileuszu w Antwerpii z krzywdą miejsca niezbędnego aby podać kilka wiadomości obchodzących was bliżej.

(C. d. n.)

Eskimosi w Grenlandyi.

(*Ciąg dalszy*).

Przedmioty do użytku osobistego złożone są w przegródkach. Kto chce spać, ten się wyciąga; kto chce pracować, ten siada na krawędzi pokładu. Zszedłszy z pokładu, Eskimos znajduje się w izbie wspólnej. Służy ona za kuchnię, refektarz i salon, ale ponieważ nie ma tam wcale mebli do siadania, i ponieważ ziemia naga nie jest zbyt wygodnem posłaniem, więc też Eskimosi tylko na czas jedzenia schodzą ze swego paradnego pokładu, na którym każda kobieta stara się utrzymywać względną czystość. Jeżeli mąż, wchodząc do mieszkania, ma nogi zbyt zabłocone, lub dużo śniegu nabitego na nich, to sadowiąc się w swojej sypialni zwiesza nogi z pokładu. W miarę, jak rodzina wzrasta i tworzą się nowe pary małżeńskie, przedłużają pokład w koło mieszkania i dodają nowe przegródki. Kiedy wreszcie mieszkanie nie może objąć rodziny, budują obok drugie, potem trzecie, potem czwarte i tym sposobem powstaje wioska. Ale te same obyczaje, które panowały w rodzinie, gdy ta mieściła się w jednym domu, panują i nadal; tak naprzykład narzędzia myśliwskie i rybołowskie pozostają wspólną własnością. Każda wioska jest małą gminą, gdzie każdy posiada na wyłączną własność te tylko przedmioty, które mu są nieodbicie potrzebne: kayak czyli łódź, ubiór ze skóry cielęcia morskiego, hak do łowienia foki, młot kamienny, nóż stalowy, drugi nóż kamienny, ilość ryby taką, jaką zje zdoła, i tyle tranu wielorybiego, ile lampa jego spożywa. To też poczciwy Eskimos natychmiast kładzie się do góry brzuchem, jak tylko jest nakarmiony i odziany; komunizm tamuje pracę i przemysł w samem ich źródle i gmina skazaną jest na wieczne ubóstwo.

Ponieważ ludność grenlandzka raczej zmniejsza się, niż wzrasta, zdarza się więc często, że dom rodzinny, zamiast być za szczupłym, staje się za obszernym dla liczby swoich mieszkańców. W takim razie do próżnych komórek na pokładzie przypuszczają obce pary małżeńskie. Doktór Rink daje do zrozumienia, że przybysze przyjmowani są bez żadnych warunków i na stopie zupełnej równości: nie są to wcale lokatorowie, płacący czynsz; są to współwłaściciele, dzielący ciężary ogólne. Eskimosi nie zdają się smakować w odosobnieniu, a przeciwnie lubią życie wspólne, że tak powiemy, ściśnięte, jak ci lazzaroni, co się kładą pod bramami wjazdowemi Palerma jedni na drugich, służąc sobie wzajem za kołdrę i posłanie. Doktór Rink i bezimienna dama zgadzają się w tem, że ten rodzaj życia daleki od demoralizowania Grenlandczyków, wyradza dobre obyczaje przez ciągłą wzajemną baczność na siebie, a ducha braterskiego wskutek doznawanej przez wszystkich potrzeby, aby życie domowe znośnem uczynić. Nigdy, powiadają oni, nie dolatują z mieszkań Eskimosów słowa przykre i hałaśliwe. Łagodna cisza, przyjacielska rozmowa nieustannie tam panuje. Kłótnie poczytywane tam są nie za prywatną obrazę, ale za wykroczenie publiczne. P. Rink utrzymuje nawet, że język grenlandzki nie ma słów, któreby znaczyły: *łajać i kłócić się*. Eskimos, jeżeli jest niezadowolony z czegoś, milknie; obrażony, tai swoję urazę aż do pory roku, w której odbywa się ogólny obrachunek pokrzywdzonych z krzywdzicielami.

Obrachunek ten zresztą nie jest bynajmniej groźnym. Każdego roku Grenlandczycy mają swoje zgromadzenia, na których się bawią, ucztują, spełniają pewne obrządki religijne i wymierzają sprawiedliwość. Ale jak ją wymierzają? To właśnie jest rzecz ciekawa i budująca. Pokrzywdzeni, albo zastępujący ich adwokaci, zabierają głos wobec całej gminy i w improwizowanym śpiewie *wierszami*, powiada dr. Rink — przedstawiają sprawę. Ton tego oskarżenia bynajmniej niepodobny do tonu naszych oskarżeń. Nie wzywa się tam bynajmniej pomsty publicznej na głowę winnego; skarżący nie domaga się ani jego śmierci, ani uwięzienia, ani zapłaty; przemawia doń tylko tonem wyrzutu i wymaga, aby się wstydził swojej winy. Tym sposobem podług doktora Rink trybunał grenlandzkich Eskimosów przypomina zgromadzenie prawdziwych, doskonałych chrześcian: odwołują się tam tylko do prywatnego i społecznego sumienia. Kiedy oskarżyciele odśpiewali swój Nith-Song — śpiew wyrzutu i nagany — obwinieni zaczynają śpiewać swoję obronę. I oskarżeniu i obronie towarzyszy głos bębna i taniec z pantominami. Potem zgromadzenie wyraża okrzykami swój sąd w tej sprawie. Jeśli oskarżony jest uniewinnionym, okrzyk publiczny jest niejako pomstą za to, co ucierpiał, wskutek niesłusznych zarzutów; jeżeli uznano go winnym, to ze wszystkich stron podnoszą się głosy nagany. Wówczas usuwa się on zawstydzony, zhańbiony, i to jedyną jest jego karą.

To sumaryczne wymierzanie sprawiedliwości przez zgromadzenia ludowe, które nam przypominają zgromadzenia greckie, nie mogłyby być zastosowane do procesów cywilnych, zwykle obfitujących w trudności prawne. Ale sposób życia gminy wyklucza tego rodzaju sprawy. Ponieważ nie wolno odbierać człowiekowi jego ubioru, broni, kayaku i narzędzi rybołowskich, które ma do osobistego użytku, ponieważ Eskimos nie posiada nic więcej nad to, a zbywające narzędzia i kayaki stają się własnością wszystkich, nie może się więc wywiązać dysputa w kwestyach własności prywatnej. Kto sam jeden upoluje fokę, zostawia sobie, co prawda, większą jej część, ale powinien dać z niej po kawałku wszystkim mieszkańcom wraz z pewną porcyą tłuszczu do lamp. Jeżeli dwóch upoluje fokę, to dzielą się oni tem, co pozostaje po rozdaniu kawałków innym mieszkańcom. Wreszcie, jeżeli dom jest należycie zaopatrzony, wszystko co pozostaje, należy do ogółu. I dlaczegóżby miało być inaczej? U Eskimosów, jak i gdzieindziej, *nie obiadują dwa razy*, jak powiada francuskie przysłowie.

III.

Należy teraz parę słów powiedzieć o religijnych pojęciach Eskimosów. Pojęcia religijne każdego ludu, inaczej mówiąc, ideał jego, są zarazem kluczem do jego cywilizacyi i miarą tej ostatniej. Studyum ich w dziele doktora Rinka nadaje tej pracy najwięcej może znaczenia. Nie wiemy, aby ktokolwiek przed nim rozplątał ciemną gmatwaninę grenlandzkich tradycyi i oczyścił je od przymieszki pojęć obcego pochodzenia, któremi jakby pokładem alluwialnym, mogły się pokryć wskutek zdobycia Grenlandyi przez Irlandczyków. Wiadomo, że Eryk Rudy w końcu

X. stulecia pierwszy odkrył Grenlandyę; że Islandczycy usadowili się tam następnie i panowali na tych brzegach aż do 1406 roku, w którym byli wyparci z ostatniej swojej osady. Nienawiść patryotyczna Eskimosów ku najezdcom objawia się w pewnym dziale legend i podań narodowych; ale jakkolwiek silnym mógł być opór stawiany przez nich obcemu wpływowi, niepodobna przecież aby w przeciągu 400 lat nie doznali oni tego wpływu. Pierwsza połowa tego peryodu jest właśnie ową dobą, w której *sagi* najobficiej rozsiewały zabobonne i mistyczne pojęcia pomiędzy ludami północy. Była to więc praca i subtelna i trudna, to oddzielenie oryginalnych pojęć Eskimosów od pojęć zapożyczonych od islandzkich zdobywców. P. Rink poradził sobie tutaj, jak zwykle radzą sobie w takich okazyach, to jest za pomocą znajomości języka. Wszystkie pojęcia wyrażone słowami turańskiemi są pochodzenia miejscowego, pierwotnego; wszystkie te, których nazwy mają pierwiastek aryjski, są obcym produktem. I tak ponieważ wyraz, oznaczający sposób procedury w zgromadzeniach ludowych, wyraz Nith-song, jest aryjskim, więc i ta instytucya musiała być wziętą od Islandczyków. I w istocie podobne instytucye znajdujemy u ludów germańskich. Ale tradycye, których główna idea oddaną jest słowami turańskiemi, jak np. *tornasuk, arnuat, tornak, kivigtok, tupilak, angerdlartugsiak*, gubią się dla nas w ciemnościach nocy grenlandzkiej. W tej to dziedzinie dr. Rink czyni odkrycia; gdyż nietylko zna on język Eskimosów, ale posiadał całe ich zaufanie i mógł zgłębiać ich myśli.

Co znaczy *tornasuk?* Jest to *najwyższa podpora wszystkich rzeczy*; idea, jak widzimy, o wiele już wyższa od tej, która u pewnych ludów azyatyckich wyraża się słowem „światło“ lub „niebo.“ Co znaczy *arnuat?* Znaczy *amulet*, i tutaj dotykamy pierwotnego fetyszyzmu. *Tornak* znaczy *duch opiekuńczy* i tu wznosimy się do starożytnego spirytualizmu. *Kivigtok* są to *pustelnicy, mędrcy samotni i rozmyślający*; Eskimosi mieli swoich pustelników i anachoretów, dla których lodowe równiny wnętrza lądu były obszernemi tebaidami. Daje to wiele do myślenia, gdyż zamiłowanie samotności nie poprzedza stanu społecznego, lecz następuje po nim. Ale najbardziej nas uderza pewien rys charakteru, pewna drażliwość uczucia, której niktby się nie spodziewał znaleść u ludu pół-barbarzyńskiego, to mianowicie, że troski sercowe, równie często jak zapał religijny, prowadziły Eskimosów na pustynię. Najmniejsze zmartwienie, powiada p. Rink, wystarczało, aby z Eskimosa zrobić pustelnika.

Co znaczy słowo *tupilak?* Odpowiedź jest bardziej skomplikowaną i p. Rink wprowadza nas w jednę z najbardziej dziwacznych idei, jakie się mogły urodzić w naiwnych umysłach, błąkających się w ciemności.

Wiara w czarowników jest powszechną u wszystkich ludów pierwotnych, których dziecinna myśl buja na falach jakiegoś nieokreślonego spirytualizmu; ale u wszystkich są dwa rodzaje czarowników: czarodzieje urzędowi, legalni, którzy są kapłanami uznanego kultu i czarownicy niepatentowani, czarownicy *pokątni*, którym pierwsi wydają zaciętą wojnę. Ulubiona praktyka czarodziejów eskimoskich polegała na tem, że na żądanie swego klienta puszczali oni jakiegoś wyimaginowanego zwierza na nieprzyjaciela, którego ów klient chciał zgładzić. Zwierzę to nazywało się *tupilak*. I tak dość było czarodziejowi wziąć kawałek skóry jakiego zwierzęcia i powiedzieć doń magicznemi słowami: Stań się potężnym niedźwiedziem i uduś tego a tego,“ *tupilak* wnet ruszał z kopyta i spełniał dane mu zlecenie. Jeżeli tego nie mógł uczynić, to widocznie ofiara, przeznaczona na zagładę, ostrzeżoną była o niebezpieczeństwie, zwróciła się do innego czarodzieja, który wysyłał innego *tupilaka*, i między tupilakami wszczynała się walka. (C. d. n.)

TEATR.

(„Marco Foscarini“, dramat w 5 aktach a 10 odsłonach, przez Kazimierza Zalewskiego z muzyką Münchheimera, przedstawiony po raz pierwszy we Lwowie 7go września 1877 r.)

Na tronie doży weneckiego zasiada starzec Cornaro. Władza jego, skrępowana oligarchicznemi instytucyami Wenecyi, jest tylko cieniem władzy, przecież i tego cienia zazdrości mu Ranieri, prezes rady dziesięciu i członek inkwizycyi, owej strasznej tajemniczej władzy, która była katowskim mieczem wiecznie zawieszonym nad świetną, wesołą i ucztującą Wenecyą. Ale Ranieri byłby innym dożą, jak Cornaro; marzy on o królewskiej władzy nad Wenecyą, nad całymi nawet Włochami.

Rodzinę Ranierów od rodziny Foscarinich dzieli dawna rodowa nienawiść. Teraz nowy powód do niej przybywa. Lucio Foscarini, senator, odrzucił tajemną propozycyę Ranierego, aby obalić dożę. Ranieri grozi mu wskutek tego zemstą, którą wywrze jeśli nie na nim, to na jego bracie przyrodnim Marku, którego Lucio kocha jak syna, a jego siostrzenica Blanka ubóstwia.

Ten Marek jest bohaterem dramatu, należy się więc bliżej mu przypatrzeć. Jest to piękny młodzieniec, rycerskich obyczajów i z rycerskiemi słabościami; szczęśliwy jest w miłostkach i nie odpycha ich wcale. Jest już jakby narzeczonym Blanki, ale to mu nie przeszkadza wcale jeździć na schadzki miłośne do pani Ranieri, żony owego strasznego wroga Foscarinich. Wprawdzie naiwny Marek powiada tej swojej kochance, dość zresztą nie po rycersku, że on właściwie kocha inną, ją zaś tylko pożąda „zmysłami“, ale pani Ranieri, choć Rzymianka rodem, nie jest tak dumną, aby się nie pocieszyła myślą, że jak tam jest, to jest, a dobrze, że przynajmniej choć przez godzinę ma Marka przy sobie. Jest to rezygnacya, której w żaden sposób nie można przyklasnąć, ale idźmy dalej.

Ranieri przeczuwa gacha; w scenie z żoną, poprzedzającej schadzkę miłośną, mówi jej takie rzeczy, iż widz ani na chwilę już nie wątpi o tem, że Ranieri podejrzywa swoją żonę o stosunek z Markiem. Ale pani Ranieri, w niczem nie usprawiedliwionem zaślepieniu, prędko zapomina o strachu, jakim ją słowa męża nabawiły i z zjawieniem się Marka na schadzkę nie stara się natychmiast go odprawić. Czyni to dopiero na wiadomość, że mąż nadchodzi. Marek spuszcza się co prędzej przez balkon do gondoli i ucieka, ale już zapóźno. Chwytają go, a ponieważ dom Ranierego leży w pobliżu ambasady hiszpańskiej, i ponieważ widywano już kilka razy kogoś spuszczającego się tajemnie z muru tej ambasady, więc podejrzenie pada na Marka, że jest szpiegiem hiszpańskim, zdrajcą ojczyzny i jako takiego inkwizycya rzuca do strasznych więzień swoich.

Wszystko to dokonywa się w pierwszym akcie i przez cztery następne akty, to jest przez ośm wielkich odsłon, Marek pana Zalewskiego jest prawdziwym owym Markiem, co to się błąka po piekle. Piekłem tu więzienie weneckie ze swemi łańcuchami, inkwizycyami, torturami, z całym strasznym inwentarzem wspomnień. Ranieri prowadzi inkwizycyę; obiecuje on zupełną wolność więźniowi, jeżeli się tylko ten otwarcie przyzna, zkąd wracał, gdy go schwytano na Canale Grande; inaczej będzie podejrzewany o szpiegostwo. Ale Marek nie może się przyznać, zkąd wracał, boby panią Ranieri wystawił na hańbę publiczną. Znosi więc największe tortury, ale milczy jak głaz.

Tymczasem dwie kobiety, które go kochają, Blanca i Katarzyna Ranieri, przyjaciel Jerzy Cornaro, syn doży, i brat przyrodni, stary Lucio, wytężają wszystkie siły, aby ocalić Marka. Lucio i Blanka zanoszą skargę przed senat; stary doża przychyla się do ich skargi, ale w senacie zasiadają członkowie Rady dziesięciu, zasiada Ranieri, który występując w obronie praw Wenecyi, nastraja senat przeciw Foscarinim. Tylko ucieczka może jeszcze uratować Marka, którego już inkwizycya skazała na śmierć. W więzieniu zjawia się Jerzy przebrany za spowiednika i ofiarowuje się zostać na jego miejscu, Marek zaś w stroju spowiednika ujść może. Ale Marek ofiary tej nie przyjmuje, tak przez szlachetność, jak i z tego powodu, że spodziewa się wyzwolenia w inny sposób: Katarzyna przez oddanego sobie sekretarza inkwizycyi, przygotowała ludzi, którzy przed samą egzekucyą mają wyrwać Marka z rąk straży. I ten jednak środek zawodzi, bo Ranieri kazał wzmocnić straż; nie ma więc rady, Marek musi wisieć. Istotnie wieszają go, ale jednocześnie rozwścieklony Jerzy rzuca się na Ranierego i zabija go.

Na tem się kończy sztuka. Streszczając ją, nie objęliśmy wszystkich epizodów i obrazów, obliczonych na efekt, których jest strasznie wiele w tej sztuce, a które zbyt żywo przypominają sceny z niektórych tragedyi Szekspira i Wiktora Hugo, a nawet, z libretta Traviaty. Tak np. zjawienie się Blanki u Katarzyny natychmiast przywołuje na pamięć scenę rywalek z Angela Malipieri, rozmowa pomiędzy Markiem a Jerzym w więzieniu pomalowana jest na kolor hamletowski, a przeciąganie karnawału weneckiego pod więzieniem bardzo podobne do Karnawałowego chóru pod oknami umierającej Trawiaty. Są wprawdzie i oryginalne epizody; takim jest porozumiewanie się z więźniem sąsiedniego lochu za pomocą stukania o ścianę, lub rozmowa Marka stojącego na *Moście westchnień* z dwiema kochankami, które pod most podpłynęły.

Możnaby powiedzieć, że sztuka składa się z samych luźnych epizodów i obrazów, i krytyk ma nadzwyczajną trudność wyszukania głównego motywu. Na tytule stoi Marco Foscarini, w nim więc trzeba szukać głównego motywu, a tymczasem czemże jest ten Marek? Jest że to postać tragiczna? Jest że on ożywiony jakąś wielką ideą, czy płonie w nim przynajmniej jakaś wielka ambicya, czy walczy on choć trochę z tym potworem, w którego paszczę głowa się jego dostaje. Nie, bynajmniej. Marek jest sobie ładnym chłopcem, którego złapano, gdy wychodził od cudzej żony, i nad którym potem przez całą sztukę nienawiść prywatna pastwi się z weneckiem okrucieństwem. Marek wprawdzie okazuje w więzieniu rycerski animusz, znosząc największe tortury a nie zdradzając imienia kobiety, z powodu której dostał się w matnię, ale cóż? po tej scenie „ze zmysłami“, która nas nauczyła, jakiego to rodzaju stosunek łączył go z p. Katarzyną, nie obudza on w nas tragicznego współczucia nawet jako kochanek. Stosunek ten rzuca nawet komiczny cień na czteroaktowy obraz męczarni Marka, a komizm ten najsilniej się uwydatnia w scenie mostu westchnień, gdzie Blanka i Katarzyna żegnają idącego na śmierć Marka, a ten ma prawdziwą subjekcyę w wynajdywaniu stosownych komplementów dla jednej i drugiej kochanki.

Daleko więcej materyału na bohatera tragedyi ma w sobie Ranieri. Dąży on przynajmniej do czegoś, jest przedstawicielem weneckiej oligarchii i weneckiego ducha państwowego, a rodowa nienawiść ku Foscarinim i sytuacya groźnego a zdradzonego męża czynią go zajmującym. Ale na nieszczęście i on nie jest wcale wykończoną postacią; bo jeśli w pierwszym akcie otwiera przed widzem doniosłe plany swej ambicyi, to później, kiedy się pastwi nad Markiem, nie wiemy doprawdy, kogo w nim widzieć mamy przedewszystkiem: czy trawionego zazdrością i podejrzeniem męża, czy nowego Katylinę, dążącego do zamachu stanu, czy przedstawiciela weneckiej Inkwizycyi, czy wreszcie zwyczajnego okrutnika? Autor nie uwydatnił głównej jego namiętności, a przynajmniej nie rozwinął jej konsekwentnie w całej sztuce, nie podporządkował jej drugorzędnych motywów i dla tego postać Ranierego wyszła w końcu niejasną, zamazaną.

Katarzyna Ranieri jest najniesmaczniejszą figurą w sztuce. Wiarołomna żona, zdradzająca męża dla kochanka, który jej otwarcie w oczy mówi, że ją tylko „zmysłami“ kocha, dla serca zaś ma inną. I który przytem nie odkrywa żadnych demonicznych czarów w swej naturze, jest sobie ładnym, lekkomyślnym chłopcem, jakich kupami dostać — taka żona ma

być bohaterką tragedyi czy dramatu! Autor uznał za stosowne nie odbierać jej życia przy końcu sztuki, kiedy giną mąż i kochanek; i może to lepiej, powinien ją był tylko oddać do domu poprawy.

Inne postacie, nie wyłączając obu Cornarów i Lucia Foscarini, szablonowo są traktowane. Z drugorzędnych postaci najlepiej się może udał panu Zalewskiemu stróż więzienny, którego naiwne komisa, dawane na tamten świat skazanemu na śmierć, szczere wywołały zadowolenie w teatrze.

Główną, jeżeli nie wyłączną zaletą sztuki jest wierne tło historyczne. Autor w swojej sztuce dał obszerny obraz dawniejszych stosunków weneckich, choć co prawda i ten obraz grzeszy jednostronnością. Widzimy drobiazgowo odmalowane narzędzia wewnętrznej polityki weneckiej, a nie widzimy tego, ku czemu te narzędzia służyć miały, to jest zewnętrznej potęgi i świetności weneckiego państwa.

Jako tak zwana „niedzielna“ sztuka, Marco Foscarini, będący nagromadzeniem wszelkiego rodzaju scenicznych efektów, może mieć jakiś czas powodzenie. Przyczynią się do tego bezwątpienia przepyszne dekoracye pędzla pana Dülla (sala w pałacu dożów, Most westchnień) i wstawki muzyczne p. Münchheimera, mianowicie prześliczna barkarola i chór karnawałowy.

O grze artystów, którzy zbyt niewdzięczne mieli pole do popisu, nie będziemy mówili; nie podobna jednak nie zwrócić uwagi na to, że p. Zamojski w roli inkwizytora zbyt przypomina klasycznego Klapkiewicza.

Józef Tretiak.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. września.

Przechadzka po wystawie.

(T.) Zdaje się, że jesień polska, słynna ze swych poważnych wdzięków, wzięła także udział w naszej wystawie. Sądzę bowiem, że nie przypadkowo rozwiesiła nad Lwowem najpogodniejsze, najsuciej złotem haftowane błękity, jakie miała w swojej garderobie; że nie przypadkowo orzeźwi nas chłodnym, ale przyjemnym wietrzykiem, zachęcającym, pobudzającym do pracy. Niech więc hołd złożę tej Jasnej pani, co się tak łaskawą dla nas okazała.

Dzięki jej bardzo mile żyje się na wystawie. Plac Jabłonowskich wygląda jak ogród kwiatowy z rozrzuconemi w różnych miejscach większemi i mniejszemi altanami. U góry niebo pogodne; z daleka widok na najpiękniejszą część okolic Lwowa; muzyka przegrywa; ludzie roją się, kręcą, udzielają sobie wzajem uwag i spostrzeżeń, a wszystko na cokolwiek spojrzysz, interesuje cię dlatego, że to swoje.

Ktoś, kto widział wielkie wystawy powszechne za granicą, przy pierwszem zwiedzeniu naszej musi z początku doznać smutnego uczucia. Widok ubostwa naszego przemysłu ściśnie go za serce. Ale niebawem ze smutku rodzi się dobra myśl i energia. Więc jeśliśmy tak ubodzy w porównaniu z Zachodem, to bierzmy się do pracy, bierzmy się przedewszystkiem do rzemiosł, do przemysłu fabrycznego, nie dawajmy się zalewać powodzią obcych wyrobów, przynajmniej w sferze najniezbędniejszych potrzeb. Każdy, co założy fabrykę powstrzymującą obcy przywóz, będzie dobroczyńcą kraju. Zjechaliśmy się teraz, możemy się przypatrzeć naszemu ubóstwu, możemy obliczyć czego nam brakuje, możemy poznać bogactwo naszych surowych produktów, mamy sposobność skojarzenia sił, które za słabe były w odosobnieniu do stworzenia jakiejś gałęzi przemysłu, skojarzone mogą rozpocząć jakąś robotę.

Po tych pokrzepiających myślach ze swobodniejszem już sercem możemy wędrować po wystawie. Kto zechce od nas wymagać systematycznego i wyczerpującego opisu, tego odeszlemy do czasopisma wystawy, urzędowego organu, ktory jest zarazem bezpłatnym dodatkiem do naszego Tygodnia. Tam systematyczność i gruntowna znajomość rzeczy — tutaj zupełna swoboda i brak wszelkiej pretensyi do gruntowności.

Zdaje się, że wielu z tych, co już raz zwiedzili całą wystawę, gdyby ich zapytano, co im się najwięcej podobało w dziale rzemieślniczym? odpowiedzieliby bez namysłu: umeblowanie sypialni roboty pana Bieleckiego. W istocie pawilonik pana Bieleckiego sprawia bardzo miłą niespodziankę temu, co rozpocząwszy przegląd od prawego końca wystawy, od domowego przemysłu, posuwa się ku środkowi. Dwa przepyszne łóżka hebanowe, dwie takież szafy, parę nocnych stolików stanowią garnitur, uderzający wytwornością form i misternem wykończeniu szczegółów. Dla tych, co sprowadzają meble z zagranicy, i płacą za nie prócz wielkiej ceny i wielkie cło, pawilonik pana Bieleckiego niech będzie wyrzutem i zawstydzeniem.

Pan Bielecki jest stolarzem lwowskim, ale Lwów nietylko nim jednym może się pochlubić. I inni stolarze lwowscy wystawili bardzo piękne rzeczy, i wogóle z tego, co wystawa okazuje, widać, że stolarstwo we Lwowie stoi na znacznym stopniu rozwoju.

Z innych rękodzieł w tej samej części (na prawo od wejścia) głównego gmachu najobficiej reprezentowane jest koszykarstwo; tutaj już K r a k ó w stoi na czele. Znaleść tu można wszelkiego rodzaju i wszelkiej formy kosze koszyki i koszyczki, począwszy od form najpierwotniejszych do najsubtelniejszych, i tym sposobem można mieć niejako przed oczyma historyczny przegląd rozwoju naszego koszykarstwa. Spostrzegliśmy tylko z żalem, że ceny kładzione na przedmiotach wystawionych z działu koszykarstwa zbyt są wygórowane.

Jeżeli wystawa księgarska, obficie także reprezentowana, mało ściąga do siebie zwiedzających, to za to fortepian z fabryki jasielskiej, jedynej jak się zdaje w Galicyi, ma zawsze przy sobie ciekawych. Fortepian to hebanowy ze srebrnemi ozdobami, wskutek tego bardzo drogi; wielka szkoda, że fabrykant nie wystawił choć jednego z tańszych, aby można było zobaczyć, o ile fortepiany wyrobu krajowego mogą współzawodniczyć pod względem ceny, z wiedeńskiemi, których takie mnóstwo co roku przywozi się do kraju.

Mówiąc o fortepianie jasielskim niepodobna nic wspomnieć o organach roboty pana Śliwińskiego, jednego z najlepszych mechaników słynnej francuskiej fabryki pana Dumat. P. Śliwiński porzucił Francyę i korzystne stanowisko, aby nabytą umiejętnością służyć swemu krajowi. Organy jego ściągają do siebie nietylko widzów, ale i słuchaczy, gdyż p. Śliwiński w pewnych godzinach przegrywa na nich.

Jeżeli się teraz przeniesiemy do drugiej części głównego gmachu (po lewej ręce), zostawiając za sobą jeszcze wiele rzeczy godnych uwagi, o których w przyszłych przechadzkach pomówimy, to tu znajdziemy się w świecie sztucznych kwiatów, strojów wszelkiego rodzaju i cukrów, za którym następuje dość ubogi przemysł górniczy i chemiczny. Sztuczne kwiaty wyrobu lwowskiego (pp. Tołoczkowej i Zielińskiej) i krakowskiego (p. Puchalskiej) podług zdania znawców, a właściwie znawczyń, mogą współzawodniczyć z paryskiemi. Kapelusze i stroiki panny Szałkiewicz (dawniej Pappius), odznaczające się wytwornym materyałem i najlepszym gustem, mogłyby z pewnością nawet na zagranicznych wystawach ubiegać sięo pierwszeństwo: tu nie mają z czem współzawodniczyć, a przytem tak fatalnie są umieszczone, tak ściśnięte innemi szafami, że nawet nie wszystkim należycie przypatrzeć się można. Byłoby bez wątpienia daleko stosowniej, gdyby słońce, które liże lukrowany piernik pana Werdarycha igrało sobie z piórkami, koronkami i atłasami.

W cukrowym świecie imponująco wyglądają wystawy pp. Grosa i Strusa i Kosteckiego. Cukry pana Kosteckiego tak pięknie i smacznie z za szkieł wyzierają, że z prawdziwą przyjemnością można się im przypatrywać. Dla tych jednak, co naturze dają pierwszeństwo przed sztuką, piękniejszą będzie wielka kamienna łza Wieliczki, przepyszna bryła kryształów soli, nieopodal leżąca.

W tej części gmachu znajdują się także wyroby kilku hut szklannych (Pieniaki, Bircza, Majdan Górny). Bardzo to ważna gałęź przemysłu, a na nieszczęście mało jeszcze rozwinięta, z tego też powodu mnóstwo szkła lepszego gatunku musimy przywozić z zagranicy. Huty nasze produkują zwykle szkło pośledniejszego gatunku. Z radością więc oglądaliśmy wyroby szklanne z huty pana Zygmunta Piwko w Majdanie Górnym (poczta Nadworna). Przedstawiają już one znaczny postęp w naszem hutnictwie szklannem, odznaczają się elegancyą i mogą już należeć do wykwintnej zastawy stołowej.

* * *

Oddział rolniczy otwarty został dopiero we wtorek, i jeszcze w chwili, kiedy to piszemy, nie przestaje się napełniać. Zajmuje on mniejszy budynek wystawowy z tyłu za głównym gmachem: oprócz tego trzeba szukać produktów rolnictwa w pawilonach książąt Sapiehów i namiestnika.

Zdawałoby się, że w kraju tak przeważnie rolniczym, jak Galicya, dział rolniczy na wystawie powinienby być bardzo obficie reprezentowany. I w istocie zgłosiło się wielu wystawców (stu kilkudziesięciu), ale cóż, kiedy ledwie trzecia część tych co się zgłosili, wywiązała się dotąd z przyrzeczenia.

Jednocześnie z otwarciem działu rolniczego rozpoczęła się i wystawa koni. Obiecuje być świetną; dzielnych koni z zawodu roboczych jest bardzo wiele, ale z żalem spostrzegliśmy, że włościańskich koni prawie nie ma wcale. Najdorodniejsze konie należą do ks. Jerzego Czartoryjskiego, p. Drzewieckiego, hr. Baworowskiego (rasa normandzka), hr. Zamojskiego (angielska) i ordynacyi chorostkowskiej czyli hr. Siemieńskiego. Dzielne konie robocze przysłał p. Makomaski z królestwa polskiego. Z koni p. Hulimki szczególną uwagę zwraca na siebie mały i biały jak mleko arabczyk. Konie hr. Potockiego, między którymi najciekawszym jest percheron prawie pełnej krwi, i konie ks. Sapiehy stoją w osobnych stajniach. Pan Oczosalski także w osobnym pawilonie wystawił kilka tarantów, z których szczególnie jeden maścią swoją bardzo przypomina skórę tygrysią.

Ze wszystkich jednak koni najpiękniej wyglądają ogniste, prześlicznych kształtów rumaki pana Drzewieckiego Turek, Dumka i Dżefel.

* * *

Jeżeli codziennie plac wystawy jest bardzo

ożywiony, to w niedzielę ożywienie to dosięga najwyższego stopnia. Cyfry najwymowniej mówią: w przeszłą niedzielę sprzedano około 20.000 biletów na wystawę. To też rojno było i ciasno, jak na jarmarku. To zniżenie ceny niedzielnej do 10 centów jest bardzo szczęśliwym pomysłem; tym tylko sposobem ubogie warstwy ludzi będą mogły korzystać z wystawy.

* * *

(J. T.) *Z wystawy sztuk pięknych.* W przeszłym tygodniu mówiliśmy o obrazach Gierymskiego, którego na nieszczęście śmierć nam już zabrała; dziś pomówimy o dwóch krajobrazach Brochockiego: „Widok z nad Prosny" i „Zachód słońca." (Ostatni zakupiony już został przez p. Tadeusza Barącza.) Oba są prześliczne, a o tyle podobne do siebie, że i tu i tam to samo oświetlenie wieczorne, zmierzch pada, a zachód się rumieni. Zresztą zupełna różnica. „Zachód słońca" przedstawia ustęp z zacisznej wioski polskiej. Rozłożysta chata wiejska, nieco w dali ogrody, z po za których rumieni się czysty zachód, obiecujący pogodę na jutro, wąska drożyna i mostek nad zarosłym strumieniem, a to wszystko nakryte ciszą i zmrokiem — oto krajobraz pana Brochockiego, jeżeli słowami można oddać wszystkie szepty i tony kolorów. Widz patrząc na ten obrazek doznaje uspokojenia, jakie dają cisza i spokój życia wiejskiego.

„Widok z nad Prosny" o wiele rozleglejszy i piękniejszy, choć nie daje uspokojenia, ale budzi tęsknotę. Po lewej stronie widzimy płaski brzeg Prosny, która odnogami wciska się między nadbrzeżne zarośla i trawy. Gładkie i ciche jej wody zabarwiły się rumieńcem zachodu. Dalej ku prawej stronie i w głąb obrazu rozściela się wielka nizina porosła drzewami i zakończona lasem. Krowy wracają z paszy, brodząc w owych zarumienionych odlewiskach Prosny; za niemi po mokrej trawie przez zarośla przedziera się pastuch. Mieszkań ludzkich nie widać; muszą być gdzieś daleko. Ten brak życia ludzkiego, rozległa płaszczyzna i zmierzch wieczoru, składają się na dziwnie tęskną i przejmującą melodyę, którą tylko tony Szopena mogłyby równie godnie wyśpiewać. Wszystkie szczegóły przytem wybornie dostrojone są do ogólnego tonu; ani jeden dyssonans nie mąci harmonii tej wzniosłej i tęsknej pieśni.

* * *

Na tegorocznej wystawie po raz pierwszy pojawiły się obrazy nieznanego nam dotąd, zapewne młodego malarza, p. Gottlieba. Mamy ich aż cztery: *Portret w stroju arabskim, Schylock i Jessika, Uryel Acosta i Judyta van de Straten, i Studyum.* Obrazy te świadczą o niepoślednim talencie malarza i pozwalają rokować mu świetną przyszłość. Z obrazów tych, z wyjątkiem może „Portretu," gdzie jak się zdaje chodzi tylko o kostium arabski, przemawia dusza artystyczna, jeszcze niespokojna, ale wrażliwa i twórcza. Więcej niż „Uryel Acosta" ma spokoju „Schylock i Jessika i jest piękniejszym od innych. Schylock sympatycznie tu przedstawiony; nie widać w nim lichwiarza i mściwego Paryi, a tylko kochającego i troskliwego ojca. Jessika jest prześliczną i wybornie pojętą: poddaje się ona uściskom ojca, ale oczy jej błądzą gdzieś daleko, myśl jej ulatuje do świata, od którego objęcia ojca chciałyby ją na wieki odgrodzić. Obraz ten stanowi jednę z głównych ozdób tegorocznej naszej wystawy.

* * *

W przeszłej pogadance o wystawie powiedzieliśmy, że Matejko reprezentowany jest tylko przez kopię swego Stańczyka; dziś już jest inaczej, przybył bowiem inny także dawniejszy obraz tego malarza: „Wit Stwosz." Rozpisywać się o nim nie będziemy; znany jest wszystkim doskonale, jeżeli nie z oryginału, to z rycin. Pod względem pomysłu należy on bezwątpienia do najpiękniejszych kreacyi naszego zasłużonego mistrza.

Siemiradzkiego szkic przedstawia głowę kobiecą, będącą uosobieniem zmysłowej piękności. Czarne jej oczy palą jak węgle żar w środku tające, usta zdają się być zmysłową roskoszą nabrzmiałe, w czarnych jak heban i w górę z tyłu zaczesanych włosach przewija się krwawa wstęga; szyję otacza złota kolia, po jubilersku odmalowana przez Siemiradzkiego. Szkic to drobny, niewykończony, ale ex ungue leonem...

O innych obrazach pomówimy w przyszłym „Tygodniu."

* * *

Dnia 12go bm. przybył do Lwowa nuncyusz papieski Jacobini, powitany na dworcu przez arcybiskupów lwowskich, burmistrza i radę miejską. Duchowieństwo wszystkich parafii lwowskich wyszło na spotkanie z procesyą. Wieczorem w całym Lwowie była iluminacya, nie wykluczając żydowskich części miasta.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Adler W. i A. Sieradzki.* Nauczyciel wobec nagłych wypadków chorobowych u dzieci. 8ka, str. 42. Lwów, 1877. 24 ct.

— *Chmielewski Józef.* Nauka przygotowawcza w klasie I. szkoły ludowej przed użyciem elementarza. Część I. teoretyczna, 8ka, str. 65. Lwów, 1877. 34 ct.

— *Grzywieński Jerzy.* Pogląd na obecny stan gospodarstw naszych. 8ka, str. 38. Lwów, 1877. 35 ct.

— *Kalendarz d'a nauczycieli* na rok szkolny 1877/8, ułożony przez dr. Józefa Żulińskiego. Rocznik I. Oprawny 85 ct.

— *Morawski T.* Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane. Tom V. Stanisław August. Wydanie wtóre. 8ka, str. 492. Poznań, 1877. 3·90.

— *Morawski T.* Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane. Tom VI. Polska pod obcem panowaniem. 8ka, str. 481, (z portretem autora). Poznań, 1877 r. 3·90.

— *Patzig G. C.* Praktyczny rządca ekonomiczny według wymagań tegoczesnych. Podręcznik praktycznie pouczający dla właścicieli dóbr, dzierżawców, rządców, początkowych gospodarzy, dla gospodarskich zakładów naukowych, w ogóle dla wszystkich zajmujących się praktycznem gospodarstwem. Podług dziewiątego niemieckiego wydania z zastosowaniem do potrzeb krajowych, przełożył Hipolit Turczyński, 2 tomy, str. 254, 205. Lwów, 1878, 4·20.

— *Rozbitek.* Adam Medeksza 1820—1876. 8ka, str. 33. Lwów, 1877. 30 ct.

— *Skałkowski dr. T.* O kredycie rolniczym w Galicyi. 8ka, str. 48. Lwów, 1877. 36 ct.

— *Tomek W. W. prof.* Dzieje Monarchii austryacko-węgierskiej dla szkół średnich, przełożył i uzupełnił Michał Markiewicz. 8ka, str. 215. Rzeszów, 1877. 1·20.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Przystąpienie swoje do *Towarzystwa naukowej pomocy dla księstwa Cieszyńskiego* zgłosili i wkładkę po 1 zlr. złożyli pp. Jan Bochnig, Aleksander Stroka, Ignacy Meyer, Jan Rudkowski, Mieczysław Burczyk, Władysław Horwath, Zygmunt Łyczkowski. Razem 7 zlr., które na ręce delegata Towarzystwa p. Bolesława Limanowskiego złożyliśmy.

Literatura, sztuka i nauka.

— Możemy się podzielić miłą wiadomością z czytelnikami, że M. Rodoć oddał do druku czwarty zeszyt swoich Piosnek, które już w początkach października mają się ukazać w handlu księgarskim.

— Znany i u nas p. Michał Konstantynowicz, wynalazca łatwej metody uczenia czytać i pisać, bawi obecnie w Warszawie, gdzie otrzymał pozwolenie na udzielanie lekcyi. Metoda p. Konstantynowicza szczególniej ważną jest dla naszego społeczeństwa, w którem liczba nie piśmiennych jest tak wielka, gdyż nie odrywając od zwykłej pracy, daje możność w ciągu dni trzydziestu poznać całą sztukę pisania i czytania. Cała nauka bowiem wymaga tylko trzydziestu godzin.

— Opuścił druk przewodnik po Lwowie z zarysem historyi miasta, ułożony przez St. Kunasiewicza, z planem miasta i teatru. Nakładem Karola Wilda we Lwowie.

— M. D. Chamski, autor powieści *Nasze życie,* jak się dowiadujemy z „Gazety Handlowej," nazywa się Mieczysław Dzikowski, który objechawszy Paryż, Drezno, Poznań, Lwów i Warszawę bawi obecnie w Toruniu.

— W. S. Siewicz ogłasza *Zbiór krytyk na dzieła polskie* od 1850 do 1877 r., które własnym nakładem wydawać będzie od 1go października br. w zeszytach miesięcznych w objętości 6 do 8 arkuszy druku.

— „Biblioteka Rzemieślnika Polskiego" w dalszym ciągu swego wydawnictwa, rozpoczyna obecnie druk „Przewodnika dla tapicerów."

— Henryk Sienkiewicz, znany szerszym kołom publiczności pod pseudonymem *Litwosa,* zapowiada w ostatnim liście bliski powrót do kraju. Autor „Szkiców Węglem" bawił 2 lata w Ameryce. Widocznie jednak, ani urok dziewiczej przyrody, ani ogrom różnorodnych i ciągle nowych wrażeń nie zdołały zagłuszyć w sercu dzielnego turysty tęsknoty za krajem.

— Sierpniowy zeszyt „Przeglądu Technicznego" przedstawia się bardzo korzystnie. Znajdujemy tam pomiędzy innemi ciekawy artykuł inżyniera Zielińskiego o moście na Narwi pod Modlinem, zbudowanym na drodze żelaznej Nadwiślańskiej. Most ten jest systemu holenderskiego z jazdą dołem dla drogi żelaznej, a górą dla drogi zwyczajnej. W końcu zeszytu mieści się dział krytyki i bibliografii, umiejętnie opracowany przez p. Feliksa Kucharzewskiego, wreszcie przegląd najnowszych wynalazków i celniejszych robót.

— Pius IX, jak utrzymują gazety angielskie, przeszło od lat czterdziestu pracuje nad swemi pamiętnikami. W tych czasach praca ta ukończoną została; zawiera ona całą korespondencyę papieża z Karolem Albertem i Wiktorem Emanuelem, tudzież z Napoleonem III i hrabią Cavourem. Stosownie do woli Piusa IX, pamiętniki mają być ogłoszone dopiero w lat dziesięć po jego śmierci.

— *Historische Zeitschrift* Siebla, który dość często zajmuje się polskiemi rzeczami, zamieściła w jednym z ostatnich zeszytów dość znacznych rozmiarów monografię o „Radziwile Panie Kochanku."

— Pan Jan Jeleński w ostatnim nr. „Tyg. Powsz." poruszył interesującą kwestyę *biblioteczek cechowych.* Autor przytacza, że cech zdunów warszawskich od roku już wziął się do utworzenia własnego księgozbiorku i dziś cel pierwszej tej inicyatywy cechowej już jest osiągniętym praktycznie. Dlaczegóżby inne cechy nie mogły pójść za przykładem zduńskiego?...

— Kierunek główny czasopisma „Przegląd Tygodniowy," przeszedł w tych dniach w ręce p. Aleksandra Świętochowskiego (Okońskiego), znanego pisarza na polu dramaturgii i publicystyki.

Panna Anna Tomaszewicz, rodem z Łowicza, posiadająca stopień doktora medycyny, powraca w tych dniach, jak donosi *Echo,* z Ameryki do kraju i ma zamiar starać się o pozwolenie składania egzaminu „pro venia practicandi."

✓ Dzienniki włoskie „Giornale di teatro" i „Il Trovatore" donoszą, że pan Ludwik Wierzbicki „giovane basso che dispone di splendidi mezzi vocali, con il vantaggio di bella presenza," uczeń

profesora Aleksandrowicza, podpisał z impressariem Marchellim bardzo korzystny dla siebie kontrakt na sezon jesienny i karnawałowy. „Il Trovatore“ zaś donosi: „Znakomity artysta baryton pan Witold Aleksandrowicz (Alessandrini) otworzył w Medyolanie nową szkołę śpiewu. Mieliśmy sposobność słyszeć kilku z jego uczniów i byliśmy bardzo zadowoleni prawidłową emisyą ich głosu i wykształceniem muzykalnem.“

List Liszta. Czytamy w *Echu:*

W sferze kompozycyi muzycznych czysto narodowego charakteru pierwszeństwo trzyma Szopen, który jak się ktoś trafnie wyraził, wypowiedział ostatnie słowo w mazurze; komponować mazury po Szopenie, jest to śmiałość niezwykła.

Oprócz mazura wszakże są u nas prawie nie tknięte jeszcze bogate zasoby melodyj ludowych, pięknych i wdzięcznych, z których talent kompozytora może tworzyć prawdziwie znakomite dzieła.

Na to pole zwrócił się pan Zygmunt Noskowski, dyrektor towarzystwa muzycznego Bodan w Konstancyi, i napisał ośm krakowiaków, które w manuskrypcie przesłał Lisztowi.

W odpowiedzi Liszt nadesłał mu list, który podajemy tu w dosłownym przekładzie:

„Wielce Szanowny Panie!

Pańskie krakowiaki są zachwycające, głęboko polskie i pięknie ułożone (tyczy się to i fortepianu).

Nie wątpię, że Szopen, ten zadziwiający muzyk polski, przyjąłby je z sympatyą i obsypał pochwałami. W przeszłym tygodniu wykonywał je tutaj świetnie znakomity wirtuoz polski pan Julian Zarębski. Wydawca Lipski Kahnt obecny był przy tem, oddałem mu pański rękopism, aby go natychmiast drukować kazał, a on chętnie podjął się tego wydawnictwa. Wkrótce zniesie się z panem listownie.

Dziękując za przypisanie mi pańskiej pracy, pozostaję dla znakomitego kompozytora

z wysokim szacunkiem

F. Liszt.

ROZMAITOŚCI.

= Rzecz dzieje się w Warszawie na Krakowskiem Przedmieściu:

Przy ścianie stał człowiek wynędzniały i blady jak śmierć i całował po rękach człowieka silnego i czerstwego, który go trzymał za kołnierz.

Na ziemi leżała bułka chleba.

Wynędzniały skradł ją z woza, parobek piekarski dogonił go i schwycił.

Zebrała się gromadka ciekawych, jak zwykle.

— Oddaj mi chleb.

Niestety — chleb był już napoczęty, wynędzniały uciekając zdołał ugryźć kawałek.

Parobek ciągnął delikwenta do cyrkułu, ten zaś nie usprawiedliwiał się, ani tłómaczył, drżał tylko, a widać było po nim, że głód i nędza zmusiły go do kradzieży.

Gromadka ludzi, klassy ubogiej przeważnie, wdała się w tę sprawę.

— Puść go! wołali, on głodny! może ty sam będziesz jeszcze kiedy łaknął kawałka chleba.

— Puść go, żeby ci ukradł bicz albo worek, sami byśmy pomogli odprowadzić go do cyrkułu.

Na to nadszedł jakiś pan.

— Co ci się należy za chleb? — zapytał parobka.

— Dwadzieścia groszy.

Ów pan chciał dać dwadzieścia groszy, lecz z gromadki odezwały się głosy:

— Nie trzeba, panie, już nie trzeba, myśmy się tu złożyli.

I kilku ludzi bardzo prostych, bardzo pospolitych, wyrobników i żydów zapłaciło za chleb, a owemu nędzarzowi dało jeszcze kilka groszy...

— Hola panowie, protegujecie złodziejstwo, ozwał się jakiś wąsaty jegomość.

— Ach! bajki świetny sądzie, — odrzekł na to drwal jakiś, my tam lepiej wiemy co złodziej, a co głodny i chory; juści źle zrobił że ukradł, ale gorzejby było jakby się utopił z głodu...

Tak to warszawski ludek miewa niekiedy własną filozofię prawa, ale ma i serce dobre w potrzebie.

= W starym piecu dyabeł pali.

Ktoby np. mógł się domyślić, że dwoje ludzi, z których ona liczyła przeszło 50 lat, a on szóstego dobiegał krzyżyka, odbierze sobie życie.... z miłości.

Taki jednak wypadek miał miejsce w Wiedniu 18 z. m. Ona otruła się, on zaś zawiesił sobie 20 funtowy kamień u szyi i rzucił się w odmęty der schönen blauen Donau, który rok rocznie setki tego rodzaju ofiar pochłania.

= Deszcz pada. Wieczór, Latarnie błyszczą... jasność jest blaskiem, blask nie jest jasnością.

Szła sama, jedna, samotna. Było jej pilno. Stopą anioła dotykała bruków piekielnych.

Zbliżył się do niej...

— Pani — czy mogę?

— Owszem.

— Służę pani.

Myśli obojga ukrył przed światem parasol.

Stanęli u drzwi. Rycerz się skłonił.

— Wejdź pan — rzekła.

Szli po schodach z marmuru, deptali kobierce perskie, — weszli do salonu z meblami rococo.

— Czekaj, — szepnęła.

Czekał... czekał... i czekał. Lekki szelest dał się słyszeć w sąsiednim pokoju. Wszedł lokaj.

— Pani przysyła panu — rzekł podając tacę.

Na fatalnej tacy był kieliszek wódki i 5-kopijkowa moneta miedziana.

Czy wypił monetę, czy wziął kieliszek.

Nie — uciekł.

W kwadrans potem jeszcze słyszano odgłos kroków i zgrzytanie zębów.

= Szukajcie a znajdziecie.

Pan Z, właściciel majątku w Łomżyńskiem miał służącego.

Był to chłopak młody, niezły zkądinąd, lecz wielki latawiec i niechluj.

Naprożno napominał go pan codziennie — wszelkie strofowania nie pomagały i Janek ze swych wad nie umiał czy nie chciał się poprawić.

Przed kilkoma dniami do dworu przyszła banda cyganów wciskając się pod rozmaitemi pretekstami do wszystkich kątów.

Janka jak zwykle na miejscu służby nie było.

Kiedy więc cyganie wyproszeni ze dworu odeszli, a Janek nie prędko powrócił, spotkał u progu wystraszoną gospodynię dworską, która go zawiadomiła, iż pozostawione przezeń rzeczy a stanowiące całkowitą jego garderobę zostały przez cyganów skradzione.

Wiadomość ta gromem dotknęła Janka. Nie czekając na bliższe wyjaśnienie skoczył on czemprędzej do stajni, gdzie zebrawszy fornali i co było służby dworskiej, ruszył w pogoń za cyganami.

Takiego obrotu rzeczy nie spodziewała się gospodyni — zwróciła się czemprędzej do pana X.

— Panie, rzecze, chcąc ukarać i przestraszyć Janka za jego niedbalstwo, ukryłam mu wszystkie rzeczy powiadając, że je skradli cyganie.

— I cóż ztąd, pyta pan X.

— Janek zebrał fornali i udał się w pogoń za cyganami.

Pan X. człowiek spokojny i sprawiedliwy, obawiając się gwałtu, kazał czemprędzej podać sobie konia i udał się w stronę, gdzie spodziewał się spotkać poszukiwanych.

Jakoż wkrótce oczom jego przedstawiła się malownicza scena.

Nieopodal w lesie toczył się bój zawzięty.

Napadający bili — cyganie uciekali.

— Wstrzymajcie się na Boga woła pan X nie krzywdźcie niewinnych.

Napastujący podwoili razy.

— Zaprzestańcie bójki, ja wam rozkazuję.

Obie strony przystanęły.

Lecz jakież to było zdziwienie pana X., kiedy w rękach służby dworskiej spostrzegł większą część swej własnej garderoby odebranej od cyganów.

Mistyfikacya istotnie, dziwnie pomogła panu X.

Janek szukając swych rzeczy, których nikt nie ukradł, wykrył kradzież spełnioną zręcznie przez cyganów we dworze.

KRÓL HAZARDU.

= W Paryżu umarł znany wszystkim, którzy kiedykolwiek wielkie domy gry w Monaco lub Homburgu odwiedzali, dawny ich właściciel, Blanc, król hazardu. Pozostawił on swoim spadkobiercom ośmdziesiąt kilka milionów franków majątku, a każdy milion wart był z pewnością kilku ludzkich żywotów, które padły ofiarą samobójstwa nieszczęśliwych graczy.

Blanc zrobił ogromną fortunę na utrzymywaniu domów gry, które przez rząd niemiecki zniesione zostały; swojego czasu sam hołdował on namiętnie hazardowi, lecz podziwiał i z uszanowaniem patrzał na takich, którzy się nigdy stosami złota na zielonym stoliku skusić nie dali. Z dumą i pewnym rodzajem ambicyi chełpił się tem, iż potrafił z nizin społecznych wznieść się tak wysoko, i stać się jednym z najpierwszych Nababów zachodu.

Po śmierci Blanc'a mnóstwo dykteryjek krążyć zaczęło o jego życiu i charakterze. Przypisywano mu ogromną znajomość fizyonomii graczy; z łatwością mógłby on był na zasadzie tyloletnich studyów napisać „metafizykę gry“, albo „psychologię szulerów“. Teorya namiętności ludzkiej nie mało byłaby na tem skorzystała.

Sam na sobie doświadczał także wiele skutków tego trawiącego jadu, który szałem porywa umysł i gorączkę budzi w sercu. Pod koniec życia wstrzymał się zupełnie od gry. Opowiadają, iż raz dawna żyłka przypadkowo się w nim odezwała, ale też to zbudzenie się namiętności uśpionej drogo przypłacić musiał.

Oto przypadek zrządził, że Blanc wybrał się ze swoją żoną do Wiesbaden na wycieczkę. Pani wyjeżdżając z Homburga, zostawiła parasolkę. Żołnierz bez broni, kobieta bez wachlarza lub parasolki obejść się w pewnych chwilach nie mogą. Potrzeba było kupić nową w Wiesbaden. Dobry małżonek wybrał się rano do miasta, wstąpił do parasolnika i za 80 franków kupił jakieś cacko z jedwabiu, fiszbinu i słoniowej kości. Wszakże wydatek ten wydał mu się zbyt wielki, aby go mieć bez rewanżu.

Postanowił wstąpić do domu gry, i od Fortuny odebrać choćiaż część tego, co wydał u parasolnika.

Służba obaczywszy Blanc'a, poskoczyła z całą uprzejmością, podając mu krzesło, fotel, taburet, lecz rzadki gość skinął tylko ręką, dając do poznania, iż tylko chwilkę zabawić myśli.

Postawił franka w trente-et-quarante — wygrał, podwoił stawkę — przegrał. Zebrała się wreszcie sumka wartości gałki parasolki, wreszcie połowa wydatku była pokrytą, kiedy znów Fortuna się odwróciła Blanc przegrał naraz wszystko, to go podrażniło — zaczął stawiać coraz więcej, zapalać się, hazardować, wyjął z kieszeni duży pugilares, a z niego jeden, drugi, trzeci tysiączek i tak coraz dalej.

Minęło południe, pora obiadowa, zapadł zmrok, wieczór, godzinę jedenastą wydzwonił zegar, Blanc jeszcze siedział przy stoliku; z pugilaresu wyjął ostani banknot i po raz ostatni upatrzony kolor zawiódł wybrańca fortuny. Zirytowany, zły, zawstydzony, zerwał się ze siedzenia, chwycił za nieszczęsną parasolkę i wybiegł, przegrawszy 91,000 franków zamiast powetowania sobie 80 wydanych na sprawunek dla ukochanej małżonki.

Parasolka pani Blanc kosztowała przeto 91.080 fr.

PP. autorów, którzy życzą aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 3.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.